

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA:

Z przesyłką poczt. lub dostarcz. do domu
Rocznie 8.—
Półrocznie 4.00
Kwartalnie 2.00

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26
Otwarte codziennie prócz świąt od
11 godziny do 4 pp.
Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu 50 k.
W tekście (nadesłane) 1 rb.
Po tekście 20 k.

Czas odnowić prenumeratę na kwartał 3-ci.

Politykująca infuła.

„Dwa lata temu na litewskiej wystawie sztuk pięknych w Wilnie ukazała się efektowna rzeźba— „Walka“. Grupa wyobrażała litewskiego jeźdźca, godzącego w orła polskiego. Niedługo zdobył wystawę ten eksponat tendencyjnie nacjonalistyczny. Pod wpływem naturalnego niezadowolenia polaków, rzeźbę usunięto. Ale „Walka“, wydalona z sali wystawowej, pozostała w życiu. Zjawia się rycerz z petersburskiej akademii duchownej, który cios zadaje hegiemonji polskiej w samo serce — w dziedzinę potężnego klerykalizmu“.

Tak oto przedstawia „Riecz“ rolę nowego biskupa żmudzkiego, ks. Karewicza, który w czasie ingresu dał jawnie do zrozumienia, że stać będzie po stronie nacjonalistów litewskich.

Niechęć do polaków, wrzająca w sercach korespondentów „Rieczy“, tak często ich dziś oślepia, że wcale nie spostrzegają, jak pod wpływem namiętności zapędzają się na manowce, nieraz bardzo dalakie od dróg, wytkniętych przez zasady demokracji i postępu. Tu odsłaniają się nam istotne motywy tego zasuszonego doktrynerstwa odnowicielei Rosji, którzy nie umieją działać bez powoływania się na ustępy biblij nowocześniejszych. Muszą tak czynić, gdyż demokracji mają więcej w głowie, niż w sercu. Dać folgi intuicji nie mogą, bo gdyby nią się kierowali, niewiadomo dokądby ich zapędziła.

Wyraźnie o tem świadczą chociażby występy np. rosyjskich pism postępowych przeciw ruchowi kooperatywnemu w Polsce. Zdawałoby się, że niema akcji, lepiej realizującej w warunkach obecnych postulat demokracji; że sprzyjać jej powinien każdy szczerzy demokrata. Skoro jednak ruch ten na straty naraża handlarską rzeszę, będącą liberalizmu podporą, rosyjski owego liberalizmu maruder w ruchu spółdzielczym dostrzega tylko antysemityzm.

A obecnie mamy znów przykład nowej niekonsekwencji. Oto tenże liberal chwali politykę w sutannie. Chwali, bo zdaje mu się, iż w danym wypadku staje ona po stronie upośledzonych. I nie rozumie najwidoczniej, że wyzyskiwanie uroku infuły dla celów, przechodzących jej kompetencję, jest jednym z najpospolitszych środków, gruntujący despotyzm reakcji; że dając *placet* swoje na mieszanie się pastorału do walk politycznych, tem samem aprobejuje wszelkie gwałty, dziejące się pod hasłem bojaźni Bożej i miłości bliźniego.

Biskup Karewicz sam w mowie swojej przyznał, że nie zna stosunków, panujących w diecezji żmudzkiej, że informował się o nich tylko u nacjonalistów litewskich. Dalej dowiedzieliśmy się, iż przeczytał jedną tylko poważniejszą broszurę, której ducha jednak nie zrozumiał (jak świadczy protest autora, ogłoszony w „Kur. Litewskim“). Powiedział też biskup Karewicz, że lepiej, niż Litwę, zna dziś wybrzeża Wołgi, a jeszcze lepiej — dodajmy — niż wybrzeża Wołgi, nastroje sfer petersburskich.

Nie stajemy bynajmniej w rzędzie tych pism i żywiołów polskich, które z nowego biskupa niezadowolone są dlatego tylko, iż stanął po stronie litewskiej. Żale ich właściwie nie mają żadnej podstawy. Są to przecież te same elementy, które niedawno jeszcze nadużyły powagi episkopatu galicyjskiego w walce o reformę wyborczą. Kler politykujący jest ich własnym wytworem. Przywykły od wieków posługiwać się nim dla interesu kast uprzywilejowanych.

Ale jeśli „Riecz“ mniema, że zwrot biskupa Karewicza jest zasadniczym z tą tradycją zerwaniem, to zupełnie bezkrytycznie zjawisko traktuje.

Kler katolicki na Litwie miał istotnie szereg pięknych — wyjątkowo pięknych — momentów, gdy trwał po stronie siły *pognębionej*; gdy pognębenie to ludzkim sercem odczuwając, znosił prześladowanie od zwycięskiej mocy. Był to po-

ryw, poryw instynktów szlachetnych, rachubom, wszelkiemu interesowi obcych. Taki poryw musi w końcu przeminąć.

I oto przemija.

Zwrot biskupa Karewicza nie jest bynajmniej skierowany przeciw sile, a w obronie słabości. Jest on przeciwnie przystosowaniem się do wymagań strony, fizycznie potężniejszej.

Nie znamy tego człowieka, nie wiemy nic o jego inteligencji; wie on, co czyni, czy nie wie, zali orjentuje się w tem, że jest narzędziem tylko w cudzem ręku — nic pewnego powiedzieć nie potrafimy. Pewnem jest to jedynie, że w interesie kultury młodego narodu nie działa, bo występować przeciw *hegemonji* polskiej (jak się wyraża „Riecz”) na Żmudzi, gdzie hegemonji tej niema już dziś ani śladu — to to samo, co unieruchomić postęp przez zwracanie energii ludu tam, gdzie nie ma ona nic do zwalczania. Nacjonalizm nowoczesny, obierający stale kierunek najmniejszego oporu, jest dziś faworytem klerykałizmu. Biskup Karewicz jest właśnie klasycznym tego sojuszu wyrazicielem.

„Riecz” zaś, która uważała za jeszcze odpowiedniejszego na jego stanowisko notorycznego fałszerza, ks. Propolanisa, zapomina zupełnie że politykująca sutanna ostatecznie nie pójdzie nigdy po linii ani zasad, ani interesów liberalizmu.

Józef Sorokowicz.

Kwestja serbska.

Strzały terorysty serajewskiego, które położyły trupem austriackiego następcę tronu, wysuwają na porządek dzienny spraw europejskich kwestję serbską — kwestję, dotąd z jednej strony ignorowaną, z drugiej wyzyskiwaną przez szalbierstwo polityczne, obce dążeniom wolnościowym jakiegokolwiek ludu.

Benedykt Hertz.

Harfa czarodziejska.

(Baśń.)

(Dokończenie.)

W boru pociemniało, ale nie na długo. Bo przez konary, tutaj nieco rzadsze, spływać zaczęła wkrótce srebrna struga miesięcznej światłości i rozlewać się po mchach białym kobiercem.

Spojrzał Wietrek w niebo, złotem ziarnem osypane, i tak mu się zachciało w one dale przestworne lecieć, że aż serce żał ścisnął, czemu tego w mgnienie oka sobie nie powiedział.

Ale chłopak długo smęcić się nie lubił. Więc przytknął do ust fujarę i — naprzekory gryzocie, wesołego zagrał. Dmucha ostro, palcami szybko przebiera; rozspiewał się obertasek, na odsiebkę, hu-ha! Piszczalczka piszczy; zda się, markotność wszelką zakrzyć by chciała, a nie może! Jako ta woda, co po wierzchu ze słońcem i wiatrem

Wyswabadzając się z pod jarzma tureckiego, serbowie dali już dowód, że — mimo niskiej kultury — masy świadome są, swej odrębności narodowej; że popularna jest wśród nich narodowa ambicja, w imię której krew zdolne są przelewać. Faktu tego nie osłabia nawet okoliczność, iż w walkach o wolność serbowie dawali się używać za narzędzie mocom postronnym, wyzyskującym ich patriotyzm dla widoków własnych.

Machinacje te zresztą stale się powtarzają. Serbowie są wciąż dotąd igraszką w ręku dyplomacji, która szczerze ich to przeciw Turcji, to przeciw Austrii, to przeciw Bułgarii, grając wciąż podstępnie na marzeniach ludu tego o wolnej zjednoczonej ojczyźnie. W rzeczywistości jednak nie życzyli sobie tego — zarówno zdeklarowani wrogowie Serbji, jak i obludni jej protektorowie.

Nowe, dziesięć-miljonowe państwo na Bałkanach zbyt by skomplikowało i utrudniło rachunki mocarstwom, mającym tu przeróżne interesy i daleko sięgające plany.

W rezultacie naród serbski rozbity został na drobne części, a każda z nich poddana zgoła odmiennym wpływom politycznym i kulturalnym. Więc z 4,500,000 serbów, którzy otrząsnąwszy jarzmo tureckie — zdobyli niepodległość, dwa stworzono państwa; 2,300,000 obdarzono autonomiją chorwacką; 600,000 włączono do dwu komitatów węgierskich, 700,000 przemianowano na dalmatyńców i istryczyków, a wreszcie 2 mil. zaludniają Bośnię i Hercegowinę, kraje, stanowiące wspólną „własność” Austrii i Węgier, i zależne od obu parlamentów.

Lecz nie tu jeszcze koniec rozpadu. Prócz separacji politycznej, a więc względnie powierzchownej, istnieje też podział, sięgający w głąb ducha narodowego. Są serbowie katolicy, są prawosławni, są mahometanie. Ziemie północno-zachodnie przenikają wpływy łacińskie; południowo-wschodnie — bizantyjskie. Przewaga liczebna stoi po stronie serbów prawosławnych; kulturalna — po stronie łacinników.

Jakkolwiek ci ostatni nie manifestowali dotąd zbyt wielkiego entuzjazmu dla idei wielkoserbskiej, przeciwnie nawet — ujawniali stałe ciężenie ku monar-

igra, a spodem topielce matuli, tak i ona piosenka.

Gra Wietrek, gra... A na srebrzystym kobiercu pojawiły się jakoweś dziewice i tańczą. Pobrały się za ręce, bosemi stopkami ledwo ziemi tykają. Sukienki na nich z mgły utkane, obłóczkami wirują.

Chłopak ze zdumienia i zachwytu gębę szeroko otworzył i przestał dmuchać. Zatrzymały się dziewczęta, jak która stała. Tylko ta najurodziwsza, co w środku koliska była, wystąpiła naprzód i rzecze:

— Graj, Wietrek, graj jeszcze.

— Co mi ta po granu — odparł przekornie — kiej mnie ludzie za to ino precz ganiają.

— Ale teraz musisz już grać.

— Czemu to tak?

— Bo inaczej wszystko tu dokoła skamienieje, jak skamieniały towarzyszeki moje.

— A niechaj...

— Ciebie również to samo czeka, jeśli nie skończysz przerwanej pieśni.

— Wolej mi skamienieć, byłem mógł cięgiem tobie się przyglądać.

chji Habsburskiej, niemniej atoli i wśród nich przejawia się coraz mocniej dążenie, do zcałkowania narodu, które, przyodziane w szaty programu politycznego, bardzo swoistą przybiera formę. Chorwatom chodzi, mianowicie, o przekształcenie monarchji Habsburskiej na państwo trjalistyczne, w którym trzecią, równorzędną z Austrią i Węgrami część — tworzyłyby ziemie serbskie.

W każdym razie pierwiastki narodowe, poczucie jedności plemienniej bierze tu górę nad czynnikami co, jedność tę rozbiły i rozbijają.

Ta sama idea krystalizuje się, inaczej w państwach serbskich, gdzie względną — choć, oczywiście, tajoną popularność zdobyło hasło rozbioru Austrii i odebrania jej posiadłości, zaludnionych przez pobratymców.

Niestety, marzenia te podniecają zzewnątrz potęgę, którym nietylko chodzi o dobro serbów ile o szkodzeniu Austrowęgom; okazują one przytem lekkomyślność, która patryotom serbskim dyktuje kroki fałszywe. Ona to właśnie wystawiła Serbije, po aneksji Bośni i Hercegowiny, na ciężkie zawody i upokorzenia: na koszty mobilizacji, na stulenie uszu po krzykliwych groźbach i przechwałkach, a wreszcie na konflikt dynastyczny, pozbawienie praw następcę tronu co po śmierci króla Piotra niejednego kłopotu nabawi jeszcze państwo.

Ta sama też tendencja — tendencja używania serbów za kamień, w Austrię miotany, okazuje się motywem i ostatniego zamachu. Był on zorganizowany w związku z przyływem marzeń wielkoserbskich i równoczesnym podniesieniem planu złączenia Serbji z Czarnogórzem.

Jak wykazało śledztwo, nici spisku zbiegają się w belgradzkich kołach oficerskich, które nieraz już dowiodły, że więcej mają zapału, niż rozwagi politycznej. Inicjatorowie spisku mieli podobno zapewniać wykonawców zamachu, że czyn ich da hasło słowiańszczyźnie austrjackiej do powstania. Oczywiście, wierzyć w to mogła tylko ignorancja, dająca posłuch bajkom agitatorów słowianofilstwa.

Zbyt wielką siłą są słowianie w Austrii, zbyt bliskie mają widoki wzmocnienia się jeszcze; a po-

nadto zbyt duże korzyści przynosi im należnie do potężnego mocarstwa, by na hasło, dane z biednej, barbarzyńskiej Serbji powstawać mieli. Już nie mówiąc o ogóle słowian austrjackich — nawet sami serbowie: chorwaci, dalmatyńcy, istryjczycy, wreszcie i bośniacy, nie wyłączając prawosławnych, dobrze by się musieli zastanowić, gdyby im przyszło wybierać między Habsburgiem, a Karadźordzewiczem. Pod berłem pierwszego jest się, bądź co bądź, w Europie; pod władzą drugiego — napoły w Azji. Wprawdzie rozmaici patronowie słowiańszczyzny rozpisyją się szeroko o prześladowaniu pobratymców przez rząd austrjacki i węgierski, ale tuszują fakt, że wszystko to są ograniczenia względne — ograniczenia w stosunku do *nowoczesnych* pojęć o wolności obywatelskiej. Przy ustawach zaś, opierających się na tych pojęciach, obywatele upośledzeni korzystają często z daleko większych swobód, aniżeli pełnoprawni poddani państwa anachronicznego. „Prześladowany“ w Austrii czech jest bez porównania wolniejszy, niż członek niejednego narodu panującego.

To też serb austrjacki, zwłaszcza łacinnik — patrzy z pewnem politowaniem na ciemnych, obdarych pastuchów, choć mają oni własne królestwa. Jest od nich kulturalniejszy, bogatszy, a nawet i poczucia godności obywatelskiej ma daleko więcej.

Wszystkiego tego zgoła nie bierze pod uwagę prasa słowianofilska. Pogromy serbów w Serajewie, które ludność tego miasta odpowiedziała na zamach, jest dla przeciwników austrosławizmu nietylko przykrą niespodzianką, ale faktem, usuwającym podstawy wielu rachub i złudzeń.

Daremnie starają się oni pocieszać wmiawianiem sobie i innym, jakoby pogromy owe były sztucznie przez rząd inscenizowane. Ktokolwiek się przekonał, jaką popularnością wśród mas — popularnością często bezkrytyczną — cieszą się Habsburgowie nawet w prowincjach „ciemieźonych“, ten może zupełnie wierzyć urzędowym komunikatom wiedeńskim, przedstawiającym zaburzenia, jako odruch żywiołowy, przeciw któremu policja państwowa nie na żarty bronić musiała wrogów państwa.

Ci więc, co wierzyli w możliwość powstania sło-

Jeszcze słów tych nie domówił, gdy poczuł raptem, że wszystko mu znikło z przed oczu, nieruchomo wlepionych w cudną postać złotowłosej dziewczyny. Ta jednak szybko poczęła się zmieniać. Grubiały stopniowo wiotkie kształty, nabierając wyglądu nieforemnej bryły; twarz płaszczyła się; zamiast nosa, wyrósł mały, haczykowaty dziób, a oczy wyjrzały okrągłemi, sowiemi ślepiami.

Wietrek resztkami sił i woli podniósł do ust fujarkę.

Zagrał — i w tejże chwili odżyły dziewczęta; dalej tańczą. Dopiero gdy skończył, zatrzymały się. Ich zaś przodownica znów do chłopca podchodzi i mówi.

— Wiesz ty, komu grałeś? Jam jest Leluja, bogunka leśna, a tamto moje towarzyski. Powiedz teraz, czego żądasz za swoją muzykę.

Poskrobał się w głowę, ale nic mu na pamięć nie przychodzi.

— Et — bąka wreszcie — nie wam ja grał, ino sobie, więc co mi ta płacić macie.

Na te słowa, uniosła Leluja djadem gwiazdzysty, co nad jej czołem błyszczał, przeczesła się nim i ofiarowała chłopcu garstkę złotych włosów.

— Masz — powiada — na pamiętkę.

To rzekłszy, wraz z towarzyszkami znikła, jak promyk słońca, połknięty przez chmurę.

Siadł Wietrek pod brzoza, medytuje, co teraz?..

Smutno mu.

Brzoza też smutna.

— Czemu płaczesz? — pyta chłopak.

Zakołysała brzoza gałązkami i mówi:

— Jakże nie mam płakać, kiedym do ziemi przyrosła i głosu wydać nie mogę.

— Nie ty jedna. Wszystkie drzewa tak samo.

— Ale ja nie zawsze taka byłam, więc ten los mi cięży. Tańczyłam dawniej i śpiewałam w orszaku Lelui przy świetle miesiąca. Ale raz zapatrzyłam się w pięknego królewicza i pieśń swą urwałam. Odszedł królewicz, a jam zdrętwiała i nie mogę już śpiewania dokończyć. Odtąd brzoza mi na tem miejscu stać, a płakać w ciichości.

Ulitował się Wietrek brzozowej doli i pyta:

— Powiedz, czy nie mógłbym ci dopomóc?

— Ha, gdybyś potrafił głos mi przywrócić, żebym mogła dokończyć pieśni przerwanej, nielada miałabym stąd ulgę.

wiańskiego w Austrii i dążyli doń przez mord serajewski, nietylko — nie dopięli celu, ale — bardzo być może — bieg wypadków skierowali przeciw swoim planom.

Przedewszystkiem wcale nie jest wykluczone, że krew Franciszka-Ferdynanda, uchodzącego powszechnie za przyszłego reformatora Austrii w duchu przyjaznym słowiańszczyźnie, podniesie *prestige* Habsburgów i austrosławizm mo niej jeszcze ugruntuje.

Niezależnie wszakże od tego, staje się dziś aktualną — jak wspomniałem na początku — kwestja serbska. Spisek dowiódł, że idea zjednoczenia serbów zdobyła już żywotność i popularność, które czynią z niej siłę realną. Trzeba zatem będzie prędzej lub później uznać ją, dać jej wyraz.

Rodzi się tylko pytanie, kto to uczyni: czy Austrowęgry, mające w granicach swych większość narodu i zapewniające mu szybszy rozwój kulturalny, czy też Serbia z Czarnogórzem, dające narodowi temu odrębną organizację państwową?

W każdym razie zjednoczenie narodu okazuje się koniecznością, mocniejszą nad wszelkie ludzkie kombinacje. Rozbicie nietylko polityczne, ale i kulturalne, nawet rozbieżne ciężenia interesów ekonomicznych — wszystko to niezdolne jest rozerwać więzi tak, zdawałoby się, wątlej, jak wspólność tylko języka. Dziś świat przekonywa się, że nic ta jest potężnym spoidłem, które coraz bardziej uwzględnić będą musiały rachuby dyplomatów.

H. R. C.

Wybory francuskie, a sprawa polska.

Paryż, w lipcu.

Maurycy Mochnecki i Joachim Lelewel, dwa przednie duchy polskiej myśli politycznej, — w różnych

Myśli Wietrek, myśli, jakby tu brzozie głos przywrócić; aż się wreszcie domyślił, ile że w muzykanckich sprawach łebski był.

Zrąbał drzewo, gładko poobcinał gałęzie, a naciągnawszy, jak struny, złote włosy bogunki, brzoze w harfę przemienił.

Ledwo ją tknął palcami, cudna rozległa się muzyka — rzewna, a przecie radosna, skoczna, a powagi pełna. Usłyszały ją sosny niebotyczne i w takt zakołysały kosmatemi czubami; stare brodate świerki, machając strzępiastemi łapami, zawirowały w miejscu; w pokłony uderzyły dęby. Ziemia falować poczęła, niby zbałwanione morze: zapadały się pagórki, wysoko strzeliły doliny, a głowy najogromniejsze, podskakując wesoło, jęły wspinać się na wyniosłości.

Leci zewsząd tumanami ptactwo; bieży zwierzę czteronogi w pojednkę i stadami; suną cicho węże i jaszczurki; nawet niemrawe ropuchy — i te gramolą się poprzez chrust i korzenie, byle zbliska muzykę usłyszeć.

Wkoło grajka coraz większa ciśnie się gromada słuchaczy.

A Wietrek — nic, ino palcami przebiera, a zło-

epokach i różnemi słowy zdefinjowali jednakowo hasło sprawy polskiej; akcja czynna wewnątrz kraju, akcja polityczna nazewnątrz granic polskich.

I późniejsi działacze społeczni, pisarze polityczni, tudzież emigracje, wszyscy w ten sam sposób ujmowali syntezę naszych obowiązków.

Niektórzy nawet banici szczególnie nacisk kładli na konieczność politycznego uświadomienia Europy, spodziewając się „zbawienia“ bodaj wyłącznie z tej strony. Jest w każdym razie faktem, że jednogłośnie zgadzano się na następującą formułkę: racjonalne informowanie zagranicy jest równie ważne, jak i racjonalna praca *intra muros*.

Mniejsza o to — a może i nie mniejsza — że wszystkie te wskaźniki pozostały bez wszelkiego praktycznego rezultatu; raczej przeciwnie: europejscy mężowie stanu, opinja europejska dziś stokroć gorzej zna nasze pretensje i żale, niż je znała za czasów Montalemberta lub Armanda Carrela. Jest to straszne *dictum acerbum*, za które odpowiedzialność spada wyłącznie na tę warstwę dzisiejszej gienieracji, które polityką polską rządzą.

Niemniej pozostała nam w puściźnie wrażliwość na punkcie tego, co o nas myśli i mówi „Europa“.

Jest bezwątpienia rzeczą pierwszorzędną donosić, aby Europa o nas mówiła, a tembardziej — myślała; wszakże tysiąckroć bardziej doniosłą jest rzeczą, aby nie myślała o nas mózгами Gabryśów i Fedorcuków i aby o naszym kraju nie plotła bajek, nad któremi niewiedomo, czy śmiać się, czy płakać należy.

Owóz stopień uświadomienia Europy o stanie naszej ojczyzny — powtarzam — zależy wyłącznie od nas samych.

* * *

Wybory powszechne — nietylko we Francji, lecz i wszędzie — mają to do siebie, że zamieniają kraj w rodzaj ruchomego uniwersytetu ludowego. Kandydaci na posłów, pouczając lud, jakimi względami ma się on kierować w wyborze swego reprezentanta,

te struny dzwonią, jakby się naraz tysiące dalekich kościołów odezwało chórem na chwałę Pańską.

* * *

Darmo Krzepiec i Chytróń w najnieodstępniejsze zapuszczają się knieje. Nigdzie zwierzyny odnaleźć nie mogą.

— Żeście, widać, rządili mojem państwem — mówi im książę-ojciec — zbuntowali się poddani i daniny płacić nie chcą.

Dopiero wzięli synowie jeden na drugiego zwać winę i niegodziwości różne wzajem sobie wypominać. A mieli obaj grzechów niemało na sumieniu.

Był tur, patriarcha puszczy, co w sile wieku byczego brał na rogi niedźwiedzie. Choć osłabł na starość, ogólny mu pozostał szacunek. Tego to tura Krzepiec kiedyś tak zdziesiął pięścią między rogi, że zwierzę ogłuszył.

— Gdyby go był choć strzałą ugodził — mówił zgorszony odyniec. — Ale tak? gołą pięścią? Straszna to obraza dla całego zwierzostanu.

kształcą go jednocześnie we wszystkich prawie gałęziach wiedzy społeczno-politycznej i tłumaczą mu znaczenie wszystkich aktualnych zagadnień narodowych. Analizują przed nim nie tylko detale techniki wojennej (wyjaśniając naprz. pożytek lub szkodliwość długiej służby wojskowej), nietylko cały mechanizm systemu fiskalnego, ubezpieczeń robotniczych, reform prawodawczych etc., lecz bardzo często wtajemniczają go i w arkana polityki zagranicznej. Tak czyni np. Maurycy Barrès, tak postępują i inni deputowani (François Deloncle, Steeg, Painlevé i t. p.); komendant Driant i inni kandydaci na posłów, popierani przez klerykalno-nacjonalistyczną „Libre-Parole“, rozlepili podczas ostatniej kampanii afisze, których dosłowny sens był następujący: „Obywatele, jeśli głosować będziecie za kandydatem dwuletniej służby i wypowiedzi się tem samem przeciwko prawu o służbie trzyletniej — tedy wiedźcie, że Rosja natychmiast zerwie aljans! Pozostaniemy na łasce losu, Niemcy wypowiedzą nam wojnę i czeka nas drugi Sedan i drugi Metz... Przez wzgląd na utrzymanie aljansu, niezbędnego dla życia Francji, głosujcie za kandydatem trzyletniej służby“.

Bez komentarzy.

Epoka wyborcza jest więc jedynym bodaj momentem, w którym można mówić ludowi nietylko o problematach polityki wewnętrznej, lecz i o sprawach polityki zagranicznej. Jest to również najlepszy czas informowania opinii o bolączkach, jakie trapią ten lub ów kraj. Niedawno zmarły senator Mechelin umiał korzystać z takich właśnie chwil. Gdy we Francji zbliżał się okres wyborczy, gdy kraj zaczynał pulsować tętnem pracy mózgowej, gdy we wszystkich klasach społecznych namiętnie dyskutowano wszelkiego rodzaju kwestje polityczne i niepolityczne, w takich chwilach przyjeżdżał Mechelin do Paryża, aby przed tłumami obywateli francuskich, w kołach towarzyskich, w salonach arystokratycznych i wszędzie, gdzie tylko się da — rozwijać dylematy położenia Finlandji. Urządzał niezliczone konferencje, rozmawiał osobno z każdym prawie kandydatem na posła, pisywał artykuły do pism, rozsyłał i rozlepił proklamacje i w końcu istotnie przyczynił się do tego, że

na niejednym afiszu wyborczym widniała Finlandja, jako kraj, za którym ująć się winien lud francuski.

* * *

Nowy parlament trzeciej Rzeczypospolitej, przecinowany i odświeżony, zasiadł w świeżym komplecie. Aczkolwiek w wielu krajach utarł się zwyczaj, głoszący, że wybory powszechne rzekomo w niczem nie zmieniają istniejącego *status quo*, niemniej przecież nie ulega kwestji, że do „przewietrzanych“ izb przenika szereg nowych deputowanych, a wraz z nimi i szereg nowych prądów myślowych i politycznych. Jestem przekonany, że gdyby do pałacu Bourbonów weszli tacy kandydaci na posłów, jak Marek Sangnier, redaktor dziennika „Démocratie“, lub Paweł-H. Loyson, redaktor tygodnika „Droits de l'Homme“, niejednokrotnie podnieśliby oni na trybunę parlamentarną sprawę polską i przypomnieliby narodowi francuskiemu jej istnienie — czego od szeregu lat nie uczynił żaden deputowany francuski, ani radykał, ani konserwatysta, ani socjalista.

Wybory powszechne mają więc olbrzymie znaczenie nietylko pod tym względem, że kraj oczekuje po nich większej lub mniejszej metamorfozy w życiu wewnętrznem, ale mogłyby mieć niemałe znaczenie i dla nas, gdybyśmy chcieli i umieli — à la Mechelin — z tak doniosłej okazji politycznej skorzystać.

Tymczasem wszyscy, którzy są powołani, których mianowano *ad hoc*, aby reprezentowali sprawę polską na forum Europy i głównie Francji, spoglądają na ten fakt dziejowy przez szkła najzupełniejszego indyferentyzmu, przez pryzmat typowej polskiej apatii i beztroski — jak spoglądają na wszystko, co się dokoła nich dzieje, a z czego należałoby wyciągać pożyteczne dla narodu lekcje, przykłady i korzyści.

Koncepcje i nastroje rządów europejskich odegrały w życiu politycznem naszej ojczyzny rolę okropną. W naturze jednak rządzą tajemnicze, lecz pewne i stałe prawa zmiany, ruchu, stawania się; nie należy wątpić, że przyjdzie chwila, kiedy rządy europejskie zmuszone będą inaczej traktować nasze rewini-

Niemniejsze oburzenie wywołało zamordowanie na weselu kozła, pana młodego. Powalił on był w turnieju wszystkich rywali i tem samem zdobył glejt bezpieczeństwa na czas wiosennych załotów.

— Praw puszczy — mówiono — nikomu łamać nie wolno, a przecież wiadomo, że weselników oszczędzać — to pierwsze przykazanie uczciwego łowiectwa.

Lecz nie był lepszy i Chytron. W ciemne, bezksiężycowe noce sidła zastawiał, co było stanowczo zabronione przez *pacta conventa*; a o jego podstępach, zdradach i innych szelmostwach głośno ryczano we wszystkich barłogach.

— Widzę — rzekł książę — iżeście obaj nadużyli mego zaufania i udzielonej wam władzy. A skutek jest taki, że mamy dziś puste spiżarnie i lada dzień może jadła zbraknąć dla dworu i dla nas samych.

Tak się też stało. Na zamku książęcym zapanował głód. Wielki kuchmistrz dniami i nocami suszył sobie głowę, z czego i jakie przyrządzać potrawy. Bieda doszła wkońcu do tego, że stare-

mu księciu zamiast czerniny, którą ogromnie lubił, dawno na obiad kawę żołądźkową.

Ale po dziesięciu dniach postu, staruszek odsunął kubek i rzekł grobowym głosem:

— Mam tego dosyć.

— Najmiłościwszy panie — ośmielił się szepnąć podczaszy — co robić?..

— Co robić? — krzyknął książę. — Skoro synowie zawinili, niech cierpią. Jutro na stół pójdzie ulubiony wierzchowiec Krzepca.

Bardzo się zmartwili tym wyrokiem bracia, ale rady nie było.

Nazajutrz, o świcie wyprowadzono ze stajni najpiękniejszego konia. Był to ogromny czarny rumak ze zwichrzoną grzywą i długim, bujnym ogonem. Dwaj masztalerze zawisli mu na uzdzeni i wspierając się piętami w ziemię, miarkowali gwałtowność chodu. Koń parskał różowemi chrapami, łbem niecierpliwie wierząc. Już go przywiedli do pała, u którego miał być uwiązany, gdy raptem zwierzę zadem przysiadło i nim zdołano się spostrzedz stanęło dęba. Jeden masztalerz nie wytrzymał: puścił rzemień. Drugiego koń uiośl w górę, a wyrzuciwszy łbem raz i drugi,

dykacje narodowe i nasze szóste miejsce w rządzie narodów liczbowo głównych w Europie. My wszakże nie robimy nic, literalnie nic, aby orientację sfer miarodajnych w naszą skierować stronę. I pod tym względem zdobyliśmy, przez cały świat podpisane, świadectwo abnegacji politycznej i politycznej bezczynności. Nie wiem, czy nasz sposób myślenia w tej materji zmieni się kiedykolwiek, ale jestem zdania, że zmieni się powinien jaknajprędzej. Powinniśmy wiedzieć, gdzie i jakie panują koncepcje, które moglibyśmy wyzyskać dla naszych celów; powinniśmy wiedzieć na jakiej długości i szerokości geograficznej znajdują się nasi wrogowie i nasi przyjaciele, jak również i ludzie, którym jesteśmy obojętni, jak kostki zarzniętej kury; powinniśmy wiedzieć, do jakich drzwi wypadnie zapukać, gdy okoliczności dziejowe nas do tego skłonią lub zmuszą.

Dlatego też uważam za zagadnienie doniosłości wprost narodowej sprawę naszego politycznego wykształcenia. Dlatego z całą uwagą i zainteresowaniem śledzić winniśmy za perypetjami polityki europejskiej i za zmianami politycznymi we Francji. Dlatego powinniśmy pragnąć, aby wśród wybrańców nowej lżby francuskiej znaleźli się ludzie, którzyby mieli choć odrobinę tej wielkości umysłu i serca, jaka cechowała Edgara Quineta, Lafayette'a, Lamartine'a, Berengera, Micheleta, Montalemberta i tylu innych wielkich Francji synów, którzy w najcięższych dla swej ojczyzny chwilach mieli odwagę i sumienie nie zapominać o sprawie polskiej i z wysokości trybuny parlamentarnej, katedry profesorskiej, a nawet drabiny ulicznej — ujmować się krzywdy polskiej...

Dziś czasy się zmieniły! Dziś Polska nie obchodzi już nikogo. Najuczeńsi i najmędrsi wśród narodów wiedzą o niej tyleż, co chłop francuski lub kanadyjski rybak. Dziś... dziś europejscy mężowie stanu żalują czasu na przeczytanie artykułu o Polsce...

Porównajmy dwu wybitnych dziennikarzy francuskich odnośnie ich stanowiska względem sprawy polskiej. Jeden żył na początku wieku XIX, drugi zażył sławę europejską na początku stulecia bieżącego: porównajmy Armanda Carrela ze Stefanem Lauzannem.

Armand Carrel był założycielem i redaktorem dziennika „Le National“. Urodził się w roku 1800, umarł, wskutek nieszczęśliwego pojedynku, w r. 1836. Mimo tak młody wiek, odzywa się o nim Wielka Encyklopedia francuska: „...*un de plus célèbres publicistes, un de plus beaux caracteres, un de plus purs, un de plus glorieux ancêtres de la future démocratie republicaine*“. Otóż bez przesady rzecz można, że w liczbie naszych przyjaciół cudzoziemskich nie było bardziej oddanego i bardziej gorącego obrońcy postępowego sztandaru męki polskiej. Armand Carrel zostawił po sobie tak piękny pomnik wielkości charakteru i umysłu, że Littré aż w pięciu tomach omawia bujny żywot naszego serdecznego przyjaciela (*Oeuvres politiques et litteraires d'Armand Carrel. Paris 1854—1858, 5 vol.*).

Zobaczmy teraz, jak usposobiony jest względem nas inny dziennikarz francuski, współczesny nam Stefan Lauzanne, redaktor naczelny „Matin“a.

Gdy Carrel maczał swe pióro w szlachetnej krwi przyjaźni i poświęcenia, Lauzanne nawołuje, by zamknąć granice Francji przed... „hordami polskich emigrantów!“ W chwili, gdy Sienkiewicz otrzymuje nagrodę Nobla, powiada „Matin“, że to „syn Rosji“ został uwiencony; gdy zaś policja aresztuje międzynarodowego złodzieja nazwiskiem Booter, urodzonego w Warszawie z ojca anglika i matki Niemki, skazanego za oszustwa, dokonywane w Niemczech, p. Lauzanne przypomina sobie nagle, że Warszawa jest stolicą Polski i pisze wołowemi czcionkami w tytule artykułu wstępnego: „*Une bande de voleurs internationaux vole en plein jour. La police arrête un comte allemand authentique, un Argentin, un Polonais et une fausse comtesse allemande*“... Skoro złodziej — to polak. A skoro laureat Nobla, to rosjanin! I naiwna publika francuska wierzy...

Przykład może banalny, ale symptomatyczny. Świadczy on wymownie, jakie informacje podaje o narodzie polskim wielka prasa francuska, t. zw. „*presse a grand tirage*“, która wpływa na rząd i urabia opinię. „Polacy smażą żydów na stosach“ („Journal“, bijący 1,600,000 egzemplarzy. Artykuł wstępny). „Większość prostytutek paryskich, którym mężowie pozwa-

chłopa daleko odsmyrgnął. Tejże chwili ruszył z kopyta w las.

— Łapaj, trzymaj!—rozległo się dokoła. Kto żyw, popędził za migającym między drzewami cieniem, ale o dognaniu rumaka i mowy być nie mogło. Tyle go też widziano.

Gdy o wypadku tym doniesiono staremuksięciu, wielki gniew zamroczył jego pogodne oblicze. Wezwał wielkiego koniuszego i odebrawszy mu order zielonego guzika, kazał wtrącić obu masztalery do więzienia.

Następnego dnia miano zabić drugiego wierzchowca. Lecz gdy wyprowadzono go ze stajni, powtórzyło się to samo, co wczoraj. Rumak wyrwał się i uciekł. I było tak jeszcze coś pięć czy sześć razy. Mimo przedsiębranych ostrożności, konie, jeden po drugim, wymykały się i pędziły w las, jak gdyby ciągnęła je tam jakaś tajemnicza, a potężna siła.

— Czary, czy co u licha!—zawołał książę. — Ha! w takim razie jesteście zgubieni.

Wówczas Chytron wpał na pomysł. Postanowił zaryzykować jeszcze jednego konia, ale do

ogona przywiązał mu gruby kłębek czerwonego jedwabiu.

A gdy się i ten rumak wyrwał, Chytron pospieszył jego śladem. Wkrótce znalazł się w okolicy, zupełnie sobie nieznaney, choć dotąd nie przypuszczał, by mogła taka istnieć w jego ojczysteypuszczu, której knieje przebiegał od lat dziecięcych. Daremnie rozglądał się po okolicy: ani takich dolin, ani takich pagórków nigdy w życiu nie widział... Lecz zdziwienie jego wzrosło jeszcze bardziej, gdy nagle usłyszał precudną muzykę, niezmiernie słodką i tajemniczą. Idąc w jej kierunku, wyszedł wreszcie na szeroką polanę, gdzie — ku najwyższemu swemu zdumieniu — dostrzegł Wietrka, grającego na jakimś nieznanym instrumencie i otoczonego nieprzejrzanymitłumami najrozmaitszej zwierzyny. Zawrócił więc czempredziej i pośpieszył do zamku. Dopiero gdy opowiedział, co widział, przypomniano sobie chłopca, na którego zniknięcie nikt uwagi nie zwrócił, tak już cały dwór przywykł uważać go za niepoprawnego włóczęgę.

Teraz wybrali się do niego bracia w otoczeniu najprzedniejszych dostojników państwa i grze-

lają zarabiać prostytutką, to polki“. („Journal z dn. 20 maja). „Pijany, jak polak“ (przysłowie francuskie nadzwyczajnie popularne).

„Francji grozi nowe niebezpieczeństwo: zaczynają zalewać ją kohorty polaków“. („Matin“, bijący 1'200,000 egzemplarzy). „Polska jest dziś jedynym barbarzyńskim narodem w Europie“ („Annales des Nationalités“, redagowane przez Gabrysa). „Polacy stanowią awangardę antysemicką i pod tym względem wyprzedzają nawet Rosję“ („Guerre Sociale“). „Polska, to naród wampirów, oprawców, szpiclów i katów“ („Courrier Européen“, Fedorczyk) — oto kilka zaledwie kwiatków, uszczkniętych na lamach prasy francuskiej. Piękny bukiet, nieprawdaż?!

Gdy jednak panią Skłodowską spotyka jakiś szczególny zaszczyt, spotyka on „córę Francji“, a gdy wybucha wstrętny, przez bulwarową prasę rozdmuchany, skandal Curie-Langerin, mowa wnet... o Polsce, z komentarzem: „taką jest matka polska“. Autor „Quo Vadis“ jest „synem Rosji“, natomiast międzynarodowy złodziej Booter jest „autentycznym polakiem“.

Zapytajmy teraz, jak my na wszystkie te potworności bez nazwy i bez precedensu — reagujemy?

Otóż *primo* milczeniem.

Prostowanie podobnych informacji przechodzi siły jednostki*), zaś instytucje specjalnie ku temu powołane — urządzają bankiety na cześć tego lub owego członka komitetu francusko-polskiego — i do tego redukuje się cała ich rola. Oczywiście, zapewnią ona paszkwilantom bezkarność i tem samym zachęca ich do dalszych napaści na nasz naród.

Secundo, reagujemy w ten sposób: Gdy umiera tak podrzędna figura, jak Gaston Calmette, redaktor przekupnego dziennika, którego korespondent petersburski wychwalał wszystkie zarządzenia antypolskie, z projektem postawienia mu pomnika występują *pierwsi*, podkreślam, dwaj hrabiowie polscy: Or-

*) Autor niniejszej korespondencji, zabierając głos w prasie francuskiej, starał się kilkakrotnie odpiierać te ataki.

(Przyp. Red.)

cznie poprosili Wietrka, by raczył wrócić do ojcowskiego zamku.

— A grać mi pozwolicie? — zapytał chłopiec.

— Nie będziecie mnie precz pędzali?

— Nietylko ci pozwolimy — odpowiedział Chytron — ale ja sam będę brał u ciebie lekcje muzyki. Przekonałem się, że sztuka nie jest takim głupstwem, jak mi się zdawało.

Odtąd Wietrka przestali bracia uważać za wisusa i darmozjada. Pozwalają robić, co mu się żywnie podoba; na dziwactwa jego pobłażliwie wzruszają ramionami. Żądają tylko, by nie oddalał się zbyt daleko od ojczystego zamku i nie odciągał od niego zwierzyny.

No i gra Wietruś, cudnie gra; czasami aż płacze grając, tak go wzrusza własna muzyka. Wraz z nim łązą tęsknoty za różnymi ideałami zalewają się i wdzięczni słuchacze, na których Krzepiec i Chytron bez przeszkód już polują.

łowski i Potocki i obaj śpieszą z datkami tysiąc frankowemi na ten cel... Tymczasem z powodu braku marnych paru tysięcy franków od pięciu lat nie może dojść do skutku projekt wystawienia Mickiewiczowi pomnika w Paryżu...

To są tak straszne i hańbiące rewelacje, że ręka drga, gdy się je pisze. Rewelacje te przekonują jaknajdobitniej — ilustracjami zaczerpniętymi w wrącego życia codziennego — że sprawa nasza na forum Europy i w obliczu świata cywilizowanego jest bliska ostatecznej kompromitacji. Opinię Zachodu o naszym narodzie trzeba nanowo urabiać. Więcej jeszcze: trzeba wykorzenić zastarzałe kłamstwa i oszczerstwa i na ich miejsce zaszczerpić bezstronną, niepokałą prawdę. Trzeba powiedzieć szerokim masom francuskim, za pośrednictwem popularnych organów prasowych, że o narodzie polskim informują ich przeważnie przekupne infamisy. Lecz, co najważniejsza, trzeba samemu Francję informować i odparowywać nikczemności „Matin'ów“, „Annales'ów“, „Journal'ów“ i t. p. pism, żyjących wyłącznie z korpucji.

I tu właśnie rodzi się pytanie: kto się pracą tą zajmuje? Odpowiedź daje nam chochlik: „Gabrysy i Fedorczyki, Kleiny i Lauzanne'y“...

Trudno się wobec tego dziwić, że sprawa polska przedstawia się w oczach Europy monstrualnie.

„Mocno oczerniaj, a zawsze coś się przylepi“ jest linią wytyczną postępowania Fedorczyka — i wystarczy pomówić z jednym tylko czytelnikiem, do którego trafił artykuł Fedorczyka, Gabrysa, Kleina, iub innego oszczerca, aby się przekonać, jak dalece maksyma ta jest trafna.

Na innym miejscu*) uzasadniłem konieczność informowania Francji przez nas samych. Tutaj powtarzam ponownie, że jedynie artykuły o Polsce, przez polaków pisane, zdołają nieco naprawić opinię Europy o nas. Ale do tego potrzebni są wytrawni publicyści, a nie organizatorowie obiadów bankietowych. Tylko i tylko wówczas posłowie i lud francuski cokolwiek więcej o Polsce się dowiedzą, niż „*soûl comme un Polonais*“, pijany jak polak...

Jeden z kandydatów na posła, redaktor Marek Sangnier, powiedział podczas ostatniej kampanji wyborczej następujące mądre słowa:

— *Les opinions d'aujourd' hui font des gouvernements de demain.*

Cóż to znaczy? Znaczą, mianowicie, że idee dziś głoszone, wszczepiane w psychikę ludu, w intelekt czytającego ogółu (a we Francji, w Niemczech, w Anglii wszyscy czytają, choć nam się w to wierzyć nie chce), staną się jutro wyznaniem wiary deputowanego, a pojutrze akcją czynną całego gabinetu ministerjalnego.

Słowa te należałoby, jak gwoździe, wbić w mózgi naszych politycznych i prasowych „reprezentantów“ — aby głębi tu zawartej nie zapomnieli.

Skończył się w tych czasach okres wyborczy we Francji. Okazja dla nas do uczynienia czegoś pozytywnego i konkretnego również. Parlament zasiadł w nowym składzie. Odświeżyła się atmosfera Izby. Ministrowie interwenjować będą na korzyść kirgizów i papuasów, a gdy ktoś ich zagabnie o sprawę polską, odpowiedzą wnet z rozbijającą szczerością:

— *La Pologne? Mait ça n'existe plus. Nous n'en avons rien entendu. Foutez nous la paix.*¹⁾

Takeśmy wykonali krwawy testament politycz-

*) „Tygodnik Polski“ z dnia 17 lutego r. b.

ny, pozostawiony w puściznie przez legiony naszych banitów i męczenników.

Smutny, tragiczny bilans półwiekowej pracy... Poszła ona nie tylko na marne, ale sprawiła, że uchodzimy w oczach świata albo za naród nieistniejący, albo za „bandy opryszków i oprawców“, od których „prusacy nauczyli się wywłaszczać i prześladować...*)

Lecz na tem nie kończy się jeszcze tragizm sytuacji. Tragiczniejszym bowiem faktem jest to, że sytuacji tej uznać nie chcemy i nie uważamy również za stosowne w jakikolwiek sposób reagować. To też zło się pleni w najlepsze. I skutkiem tego wszystkiego jest artykuł p. Vimarda**) w „Temps'ie“, ostrzegający francuzów, że naturalizacja polaków jest dla Francji i niepożądana i niebezpieczna.

Maluczko, a ludzie od nas stronić będą, jak od trędowatych.

Georges Dandin...

Stefan Auerbach.

Z pod Wawelu.

Kraków w lipcu.

Dobiega końca sezon wiosenny. Jeszcze dwa tygodnie, a Kraków opustoszeje zupełnie. Już opustoszenie murów uniwersyteckich odbija się wyraźnie na fizjognomji Krakowa. Ale dziś jeszcze roi się na skwerze plantacyjnym, otaczającym gmach uniwersytecki, od młodzieży.

Wiele strąt poniosła w tym roku nasza najstarsza wszechnica. Śmierć powaliła w ciągu jednego roku szkolnego całą plejadę wybitnych pracowników nauki. Czerkawski, Miodoński, Bruner, Pareński, Droba i tylu innych... Nie wszystkich łatwo da się zastąpić. Wiele przyczyn się na to składa, a w pierwszym rzędzie zawiści i uprzedzenia, nic wspólnego z dobrem nauki nie mające. Na nepotyzm, na niechęć wielu profesorów do dopuszczania docentów z zakresu swej specjalności do pracy habilitacyjnej narzekano oddawna. Po raz pierwszy odsłonięto rąbek tajemnic wydziałów w „Krytyce“, a uczynili to ludzie kompetentni, będący sami członkami gremium profesorskiego.

Okazało się, że bardzo niedobrze się dzieje w starożytnej „Alma-Mater“, zwłaszcza zaś na wydziale lekarskim, gdzie docentów niema prawie wcale, gdyż panowie profesorowie, uważając katedrę za swój folwark, odstrasza i zmuszają do rezygnacji wszystkie młode siły. Tu niedopuszczono do docentury młodego człowieka, ponieważ był „przybyszem“ z Królestwa, więc zadecydował profesor: „nam takich nie potrzeba“, na co mu odpowiedziano trafnie, że „Polska w Szczakowie się nie kończy“; tam znowu innego, któremu przez lat wiele czyniono nadzieje objęcia katedry, odsunięto w ostatniej chwili, ponieważ był żydowskiego pochodzenia, a profesor, którego przez lat tyle nie raził żyd-asystent, zawyrokował, że chociaż odrzucenie kandydata jest szkodą

dla nauki polskiej, to jednak większą szkodą byłoby dla społeczeństwa, gdyby miano żydami zapelniać katedry. Zaiste, wyrok Salomona!

I fakt podobny zachodzi w tym samym niemal czasie, gdy wszechnica święci uroczyste jubileusz pracy uniwersyteckiej, prof. Sternbacha, filologa, z pochodzenia również żyda. Całe grono profesorskie, nie wyłączając konserwatysty Morawskiego, wita uroczyste jubilatą i podnosi z uznaniem, że był on zawsze prawdziwym polakiem. A więc można, będąc żydem z pochodzenia, zasłużyć sobie na miano dobrego polaka, i nie zawsze nominacja taka bywa szkodą dla społeczeństwa? Psuje się coś widocznie w państwie uniwersyteckiem.

Często znów wina leży całkowicie po stronie władz centralnych, traktujących z bezduszną formalistyką sprawę nauki polskiej. Katedry historii polskiej po śmierci prof. Cermaka dotąd nie obsadzono, i niewiadomo, czy prędko obsadzona będzie, ponieważ profesorowie, którzyby w pierwszym rzędzie byli kandydatami do jej objęcia, radziby mieć gwarancję, że rząd wiedeński wypełni wszystkie postulaty, potrzebne do jej normalnego rozwoju. Podobnie rzecz się ma z katedrą historii kultury polskiej, której dotąd niema i o której utworzenie uniwersytet dawno kołace. Dla katedry nauk chrześcijańsko-społecznych z ks. Zimmermannem znalazły się jednak środki finansowe.

Zresztą opinia publiczna jest na sprawy uniwersyteckie przeważnie obojętna; może dlatego, że za mało jest ludzi kompetentnych do decydowania o brakach wyższego szkolnictwa. Natomiast sprawy szkoły średniej żywiej zaprzatają wszystkie umysły. W ostatnich czasach, jeszcze przed rozpoczęciem ferji wakacyjnych, zarządono ankietę w sprawie zarobkowej pracy fizycznej młodzieży polskiej. Sprawę rozpatrywano zarówno z punktu widzenia higienicznego, jak i wychowawczego, i z obu punktów wychodząc, znaleziono bardzo ostre słowa potępienia dla tej pracy, która podkopuje zdrowie młodzieży w czasie, przeznaczonym na odpoczynek po wysiłku umysłowym i oddziaływa na młodzież demoralizująco. Postanowiono wziąć się do zakładania na wielką skalę kolonji szkolnych wakacyjnych, w celu zapobieżenia złu. Oczywiście, proponowany środek tylko częściowo złu zapobiedz może, ale w każdym razie zasługuje na poparcie.

Skoro mowa o sprawach oświatowych, podnieść należy inicjatywę najruchliwszej może we wszystkich trzech dzielnicach instytucji kulturalnej, jaką jest Uniwersytet Ludowy im. Adama Mickiewicza. Mianowicie, Uniwersytet Ludowy urządził w pierwszych dniach lipca w Krakowie 6-dniowy kurs techniki pracy oświatowej, obejmujący 30 godzin wykładów i dzielący się na następujące działy: organizacja i zarządzanie towarzystwami oświatowymi, bibliotekarstwo, organizacja wykładów i popularyzacja poszczególnych nauk, jak: historii, literatury, nauk społecznych, muzyki, higieny, nauk przyrodniczych i umiejętności technicznych. Wreszcie kilka godzin poświęcono metodyce wycieczek naukowych. W czasie kursu urządzono wystawę oświatową.

Na kursach wykładały wybitne siły naukowe i popularyzatorskie, jak prof. Raciborski, prof. Sawicki, dr. Daszyńska-Golińska, dr. Młodowska, prof. Nitsch, H. Orsza-Rodzińska i wiele innych. Frekwencja na kursach była dość znaczna, a zadowolenie z osiągniętych rezultatów ogromne.

Jeśli się nie mylę, jest to pierwszy kurs tego

*) Porówn. „Annales des Nationalités“ i „Courrier Européen“.

**) P. Vimard uchodzi za doskonałego znawcę i za przyjaciela naszego kraju, głos jego jest więc tembardziej dla nas charakterystyczny i — smutny.

rodzaju, urządzony na ziemiach polskich. Gdy się zważy, jak wielu ludzi u nas bierze się do jakiegokolwiek pracy, nie umiając zupełnie jej podjąć, w szczególności zaś do pracy kulturalnej, wymagającej odpowiedniego przygotowania, to znaczenie kursu techniki oświatowej jeszcze bardziej się uwidatnia.

Cel kursu polegał również na agitowaniu za udziałem w pracy oświatowej, i dlatego dobrze się stało, że jego uczestnicy składali się niemal wyłącznie z młodzieży. Z pośród młodzieży uniwersyteckiej tylko bardzo niewielka ilość oddaje się pracy kulturalnej, część — z pośród tak zwanych „uspołecznionych“ poświęca się polityce, co w praktyce spowadza się nietylko do pogłębiania wykształcenia społeczno-politycznego, ile do zewnętrznych efektów politycznych, w rodzaju wystąpień wiecowych, lub hałaśliwych demonstracji. W rezultacie marnuje się młodzież, a ci wszyscy, którzy w latach uniwersyteckich wiecowali, dyskutowali, urządzali hałaśliwe polityczne efekty, lub chodzili za miasto na ćwiczenia, co nie zawsze szło w parze z politycznym wyrobieniem, po ukończeniu studjów nigdy prawie nie kontynuują pracy, w imię której toczyło się tyle namiętnych, bezwzględnych i nietolerancyjnych sporów. Ze względu na to przyznać należy, że praca w stowarzyszeniach oświatowych nawet dla tych, którzy w przyszłości pracą nie oświatową, lecz polityczną chcieliby się zająć, stanowi dobrą szkołę wytrwałości i systematyczności.

Inny Kraków, który z nauką i zagadnieniami popularyzacji wiedzy nie ma nic wspólnego, a żyje od wyborów do wyborów, zasnął po wyborach do Rady miejskiej aby zbudzić się na jesieni, przy nowych wyborach sejmowych, do których już dziś na wsi toczą się przygotowania. Drzemkę krakowską, do której flegmatyczny z natury mieszczuch krakowski zawsze czuje się przygotowany, przerwała wiadomość o śmierci arcyksięcia Franciszka-Ferdynanda, która w piękny, pogodny dzień niedzielny zelektryzowała umysły.

Z panowaniem zamordowanego arcyksięcia łączono różne horoskopy. Zwolennicy wojny spodziewali się po nim bardzo wiele, a żywiły klerykalne również z utęsknieniem oczekiwały nadejścia dni tłustych. Żywiły klerykalne zresztą także pragnęły wojny, lecz — z Włochami, bo im się majaczyła myśl, że Franciszek-Ferdynand wypędzi „masonów“ z Rzymu i odda władzę świecką papieżowi. „Masoni“ polscy zaś, którym jezuickie rządy nie trafiały do przekonania, powtarzali nieraz, że godzą się nawet na 10 lat rządów klerykalnych (na dłuższy termin, wobec słabego zdrowia arcyksięcia, nie liczono), byle tylko chciał wprowadzić w życie swe plany wojenne. Śmierć arcyksięcia położyła kres tym wszystkim oczekiwaniom, rozciągając atmosferę niepewności jutra, wobec oczekiwanego w niedalekiej przyszłości zgonu cesarza i nieprzygotowania do rządów młodego jego następcy.

Kraków pamięta wizytę zmarłego arcyksięcia w r. 1910 i ma dla niego zobowiązania, gdyż ten wpływem swoim ocalił starożytne mury kościoła św. Idziego, które miał walić prezydent Leo, w swej niepomamowanej chęci „odnawiania“ Krakowa. Osobą, która interweniowała w tej sprawie, był znawca sztuki, prof. Mycielski, osobisty przyjaciel Franciszka-Ferdynanda, domniemany kandydat na ministra oświaty z chwilą rozpoczęcia nowego panowania. Słusznie czyni prasa krakowska, że ten fakt po-

dnosi, budzić jednak musi niesmak panegiryczno-serwilistyczny ton, jaki się wkradł do niektórych jej organów.

J. Krzesławski.

Młodzież społeczna w zwierciadle „Głosu Młodych“.

Oto zakończył się rok pierwszy wydawnictwa „Głos Młodych“, organ młodzieży polskiej, kształcej się w wyższych zakładach naukowych Rosji.

Dzięki sporemu nakładowi pracy ze strony samej młodzieży, oraz pomocy życzliwego dla niej p. A. Babińskiego, wyszło 12 numerów pisma.

Wypowiedziała w nich młodzież swoje *credo* polityczne i społeczne, swoje potrzeby i dążenia, swoje aspiracje obywatelskie. Wypowiedziała je w tych ramach, jakie nakładały na nią warunki zewnętrzne. W tych też ramach dziś o plonie jej myśli i uczuć mówić będziemy.

* * *

Głęboka przepaść, ogromna różnica psychiki i przekonań dzieli młodzież społeczną, kształcącą się w Rosji od tej, jaka kształciła się tam do r. 1905, lub jaką wypadki lat rewolucyjnych już w zakładach wyższych zastały. Zwłaszcza wśród młodzieży postępowej, wśród tego jej odłamu, któremu konserwowanie polskości cieplarnianej, opartej na przywileju szlacheckim i klerykalizmie — nie wystarczało, która szukała nowych dróg życia, zmiana w orientacji jest poważna.

Młodzież, kształcąca się w wyższych zakładach naukowych Petersburga i innych miast Rosji, składała się i składa dziś przeważnie z synów właścicieli ziemskich, oficjalistów wszelkiego rodzaju i inteligencji zawodowej z Litwy, Białej Rusi i Ukrainy, z synów szlachty. Królewiaci stanowią i dzisiaj odłam nieliczny. Do roku 1905 królewiaci napływali przeważnie do specjalnych zakładów technicznych, instytucji komunikacji, górniczego, inżynierów cywilnych i t. d. Była to młodzież nie tyle idejowa, co gładna karjery, a więc na życie ogółu poważniejszego wpływu nie miała. Dopiero po roku 1905 zaczęli królewiaci napływać licznie do miast uniwersyteckich: Moskwy, Kijowa, Charkowa, Dorpatu, Odesy. Nastąpiła też żywsza wymiana uczuć, prądów. Dawniej większość młodzieży, t. zw. kresowej, łączyła polskość z tradycjami gniazda rodzinnego, oderwanego po większej części zupełnie od społecznego życia polskiego, a więc była nastrojona egoistycznie i reakcyjnie. O ile należała do organizacji studenckich, to tylko do t. zw. narodowych. Czytanki polskie, trochę historii i literatury, baliki polskie — oto był zakres jej aspiracji. Poza nie myśl nie sięgała dalej. Po ukończeniu zakładów naukowych młodzież ta wracała do swych majątków, w strony rodzinne, by snuć dalej życie ciasne, rodzinne, opromienione niekiedy względami na dobro klasy, a więc: towarzystw rolniczych, instytucji kredytowych, lub wstępowała na służbę rządową i pozostawała na obczyźnie.

Nie lepszą pod względem narodowym, jeżeli nie gorszą, była postępową, socjalistyczną część młodzieży. Wychodziła ona przeważnie ze środowiska

mniej zamożnego, mniej uodpornionego nazewnątrz, a więc mniej kultywującego tradycje polsko-szlacheckie. Wychowywana więcej przez szkołę i otoczenie, a krytycznie usposobiona względem reakcyjnej polskości t. zw. „kresów“, poddawała się ona łatwo wpływowi kultury rosyjskiej, rosyjskiej literatury radykalnej i socjalistycznej i — albo rusyfikowała się kulturalnie, albo też starała się sprząc teorie rosyjskie z tem poczuciem narodowym, jakie w niej się tliło.

Ponieważ młodzież ta w Polsce nigdy przeważnie nie była, warunków życia polskiego nie znała i nie rozumiała, przeto pozostawała całkowicie w świecie doktryny, programu, przepojona rosyjskim maksymalizmem żądań i minimalną zdolnością do wysiłku twórczego. To też, skutkiem tych cech ujemnych, gdy wypadki lat rewolucyjnych powołały niektórych zpośród niej do kraju, młodzieńcy ci wespół z odłamek inteligencji żydowskiej, spolszczonej powierzchownie, lecz nie rozumiejącej ani aspiracji, ani potrzeb, ani ducha społeczeństwa, — spowodowali chaos, dezorjentację i przyczynili się do zdyskredytowania haseł wolnościowych w Królestwie.

Lata 1905 i 1906 oraz te żdźbła swobód, jakie one przyniosły, rzuciły promień ożywczy w dusze młodzieży. Społeczeństwo polskie na Litwie i Rusi cokolwiek lżej odetchnęło. Błysnął promień nadziei. Starsze pokolenie wzrosło i wychowane w atmosferze piwnicy, przerodzić się ani odmienić do gruntu nie mogło. Lecz młodzież, jak pędy wiosenne, gdy tylko zwiastun słońca wolności się ukazał, poczęła piąć się w górę z wiarą i zapalem. Poczuli się cząstką wielkiego narodu, wyczuła w pokładach poruszonych nizin społecznych moc i potęgę twórczą, moc i potęgę, która choć dziś jeszcze ciemna, żywiolowa, nieuobywatelona, lecz świeża, lecz krzepka i zdrowa, jest zadatkami przyszłości narodu. To też — w myśl wskazań wieszczych Mickiewicza — postanowiła przełamać skorupę plugawą i zstąpić do głębi. Zapewne, że te zamiary, te poczynania „Głosu Młodych“ są jeszcze dziś w zarodku słów, że w czyn nie oblekły się jeszcze, bo młodzież ta nie wstępowała dotąd w życie. Lecz znamieniem, pożądanem i dodatkiem w stanowisku jej jest to, że przenika ją duch polski mocniej, niż dawniej; że stoi bliżej rzeczywistości polskiej; że wówczas, gdy dawniejsze pokolenie wychodziło z założeń doktryny, wyrosłej na gruncie rosyjskim, kształciło się na pisarzach rosyjskich, było przepojone, jeżeli nie pogardą, to pobłażaniem dla wszystkiego, co polskie, dzisiejsze pokolenie czerpie pokarm ducha z literatury oraz myśli politycznej i społecznej polskiej. Dziś już nie Dobrolubow, Czernyszewskij, Michajłowski, Pisarew, Ławrow, Plechanow są jej świecznikami, lecz nasi wieszczcy, pisarze i myśliciele. Dwie postaci zwłaszcza wywierają wpływ pod względem społecznym na młodzież postępującą: Brzozowski i Daszyński. Daszyński, jako polityk, Brzozowski, jako myśliciel. Dwie tylko... Bo przyznać trzeba, że brak jest ogromnie Polsce spóczesnej ludzi, którzyby szerszem i głębszem ujęciem pracy czy myśli społecznej mogli oddziaływać na młodzież, nastrojoną demokratycznie. Myśl społeczna o Polsce jest bardzo mało spóczesna, a jeszcze mniej demokratyczna. Elementy ludowe słaby dotąd wniosły plon myśli samodzielnej. Jest to źle i dobrze. Źle, bo młodzież postępuje nie ma wzorów licznych, nie ma kryterjów gotowych, sama musi szukać dróg, a więc — błąkać się i mylić; dobrze zaś, bo wyrabia sobie samodzielność myślową i poczucie odpowiedzialności względem społeczeństwa.

„Głos Młodych“ jest właśnie taką placówką poszukiwaczy dróg. Skupia się koło niego grono najwięcej wrażliwych, najwięcej uzdolnionych i najwięcej uobywatelonych przedstawicieli młodzieży. Czy doodzi to jednak, że „Głos Młodych“ — to organ idealny, bez zarzutu? Bynajmniej. Ma on cech ujemnych sporo, jak każdy twór ludzki, zwłaszcza sił młodych, nie-doświadczonych. Lecz ma cechę jedną, która wynagradza wszystkie ujemne: bezinteresowność idejową. Jest szczerym i głęboko odczutym wyrazem współpracy dla dobra narodu. Kierownicy pisma zdają sobie aż nadto sprawę, że wiele im brak, lecz starają się te braki zapełnić, wyrównać.

Nie władają dobrze językiem polskim. Tak. Bo są wśród nich ludzie, wyrosli hen na granicy Rosji Azjatyckiej, zdala od ojczyzny, zdala od dźwięków mowy polskiej. Czują to i boleją nad tem. I uczą się, i piszą po polsku, jak umieją, boć tylko tym sposobem mogą swój styl i język doskonalić. Przykre też wrażenie zrobiła ta pełna złości, małej mściwości zjadliwa uwaga, jaką z powodu ostatniego numeru „Głosu Młodych“, pomieściła „Prawda“ (№ 23).

Uważacie, że młodzież w wypowiedzianych sądach nie ma racji, jest stronna, bezwzględna, więc wykażcie jej, że błędzi, że się myli. To wasze prawo i obowiązek publicystyczny. Ale nie uciekajcie się do sposobów marnych i nie odpychajcie od siebie młodzieży ostatecznie.

Oni piszą po polsku dziś z błędami. To prawda. Lecz jutro będą pisali dobrze, a już dzisiaj dostrzegają jasno, że tam, gdzie piszą ładnie, często niema — ducha. Słyszą wokół szmermele słów, kaskady zwrotów pięknych obliczonych na efekt, skry i drzazgi, lecz nie widzą ludzi czynu szermierzy odważnych i głębokich.

A młodzież dzisiejsza pragnie, szuka przedewszystkiem treści, którą mogłaby zapłodnić duszę na przyszłe życie, którą mogłaby się uzbroić do przyszłych zapasów.

Wprawdzie pisze ona dumnie, że „młodzież postępuje, filarecka daje dziś syntezę narodowo-społecznego programu“, lecz jednocześnie szuka wokół drogowskazów żywych, wskazań mądrych, szuka i... znajduje niewiele.

Tam, gdzie jest szczerze i głębokie uczucie narodowe, jest odwaga i męstwo, — niema dostatecznego pogłębienia społecznego, jest stare poszukiwanie złotego środka, lub emigranckie zapoznawanie warunków życia narodu, utopja; tam zaś, gdzie jest większe pogłębienie społeczne, — panuje suchy oportunizm, lub ciasny egoizm klasowy. Młodzież filarecka, która uczuciem jest po stronie pierwszych, rozumem staje po stronie drugich. Wierzy, że jedno tylko może zapewnić narodowi swobodny i wszechstronny rozwój, lecz widzi zarazem głębokie różnice społeczne i rozumie, że ich zniwelować ani zamazać frazesem patryjotycznym — nie sposób; że trzeba stanąć w szeregach ludu pracującego i wespół z nim zdobywać prawa społeczne, obywatelskie, narodowe. Dziś nie ma ona jeszcze samodzielnego światopoglądu społecznego: dziś mówi ona o ludzie pracującym, jako o robotnikach fabrycznych — w myśl programów; lecz poczyną coraz jaśniej zdawać sobie sprawę, że w dotychczasowej idejologii jest poważna luka. Niema tam miejsca dla olbrzymiej większości ludu pracującego Polski, dla włościan.

To też interesuje się ogromnie ruchem ludowym „zaraniarskim“, stara się go poznać, zgłębić

skoordynować myślowo z koncepcją dotychczasową proletariacką.

Ma się rozumieć, na syntezę wszelką, na syntezę ideową całego obozu pracy Polski spóczesnej — za wcześniej.

Młodzież, stojąca zdala od życia, zadania tego podejmować nie może. Ona się uczy, obserwuje i przygotowuje do pracy.

Z poszczególnych zagadnień, poruszonych w ciągu roku ubiegłego w „Głosie Młodych“, najciekawsze i najcharakterystyczniejsze są: w kwestji narodowościowej i związanej z nią żydowskiej, w kwestji szkolnej, o biurach pracy i kasach studenckich.

W kwestji stosunku do narodów, zamieszkujących teren dawnej Rzeczypospolitej, „Głos Młodych“ zajął stanowisko wyraźne i sympatyczne.

W dłuższym artykule „W kwestji narodowościowej“ p. K. K-ński wychodzi z założenia, że interesy, rozwój i przyszłość owych narodów w niczem nie sprzeciwiają się interesom, rozwojowi i przyszłości Polski ludowej, że — przeciwnie koordynują się i skoordynowane być powinny. Interesy to i dążenia mogą być i są przeciwne interesom obszarników lub urzędników polskich (Galicja), lecz nie interesom ludu. Przechodząc od rozważań teoretycznych do wskazań praktycznych dla tych przyszłych inteligentów polskich, którzy osiądą na Litwie czy Ukrainie, autor podkreśla, że najbliższem zadaniem ich „jest spółdzielenie z ludnością miejscową, budzenie i podnoszenie na wyższy szczebel rozwoju aspiracji narodowych i politycznych tych ludów“, „bo — jak pisze w innym miejscu — w parze z dążnościami odrodzeńczymi innych narodów idą i nasze dążenia“.

Aby przygotować się do tego spółdzielenia i spółżycia, „Głos Młodych“ już obecnie stara się nawiązać stosunki z młodzieżą litewską, białoruską, ukraińską i pomieszcza na swych łamach artykuły, odzwierciedlające jej poglądy, potrzeby i dążenia.

(Dok. n.) Wi—ski.

Z cyklu „Symbole“

Grajek.

I wtór wiecznego usłyszałem grajka...

Szumiały drzewa, zachwycone wiosną,

Staw się uśmiechał, jak błękitna bajka;

A grajek jęczał mi nad uchem głośno,

Jak gdyby w muszlę dmac, aż dusza tka;

Ach, wszak odleci wiosna ta,

Ach, wszak odleci!..

*I choć słonecznie było mi pod strzechą,
Choć cud i miłość weszły w moje tony,
Wciąż biegło za mną wtórem grajka echo,
Słyszałem wiecznie straszne unisono,
Jakby na skrzypcach smyczek dziwny grał:
Ach, wszak zapomni, przejdzie szal,
Ach, wszak zapomni!..*

*Już uskrzydliłem górne duszy loty,
W promienne czyny, w pełne czarów słowo;
Wtem na wyżynie, w glorii słońca złotej,
Znów grajek wieczny zalkał mi nad głową
Na fletni, jakby wtór, co serce rwie...
Ach, wszak nie wróci młodość, nie?
Ach, wszak nie wróci!*

*Tak każda serca niezapominajka
Ma strunę w piersi, jak w ogranej skrzyni;
Gdy ją potracisz, to wiecznego grajka
Płacz się ogromny w duszy Twej uczyni,
Ze stu echami lat ubiegłych drży;
Ach! wszak nie wróci wiosna Ci,
Ach, wszak nie wróci!*

Józef Stanisław Wierzbicki.

Na marginesie.

Sprzedaż ziemi w ręce obce uznana już została ogólnie za sprzeniewierzenie się obowiązkom narodowym. Panuje co do tego zgoda powszechna, a opinia publiczna stawia nieraz — jak wiemy — wymagania nawet przesadne.

Podczas gdy nakazuje ona trzymać się ojcowizny zapędzonym pojedynczo na krańce Mohylewskiej ziemi, których odosobnione majątki często bywają nie tyle ogniskami kultury polskiej, ile miejscem wynaradawiania się polskich rodzin — nie zwracamy zupełnie uwagi na ludzi, od których w dzisiejszych warunkach zależne jest nasze stanowisko w miastach. Jeśli wymaga się od ziemianina, by w imię dobra pospolitego — bodaj tracił, a nie wypuszczał majątku z rąk polskich, to przy obecnych tendencjach nacjonalizmu — czemu wolni są od podobnego żądania właściciele nieruchomości miejskich?

Dziś, gdy zapowiadana reforma samorządu stawia na porządku dziennym sztuczne „odpolszczanie“ miast, należałoby i panów kamieniczników pouczyć, że ciążą na nich pewne obowiązki obywatelskie.

Ze dotąd sprawy sobie z tego nie zdają, dowody mamy niemal codziennie. Osobistości, nietylko cieszące się powszechnym szacunkiem, ale nawet pełniące ofiarnie służbę publiczną, zgola nie zastanawiają się nad tem, czy wolno im sprzedać dom pierwszemu lepszemu, co da zań odpowiednią cenę.

Pochodzi to *primo* stąd, że posiadłość miejska nie ulegała ograniczeniom jako przedmiot handlu,

co jednak nie chroni nas od innych, identycznych w skutkach, zamachów; a *secundo*, że większość z nas jeszcze nie rozumie, iż miasta są dziś głównymi ogniskami kultury, a nie dwory szlacheckie. Jeśli więc mamy znaczyć coś w tym kraju, musimy i w owych miastach zacząć stosować rygor, dotąd wyłącznie wieś obowiązujący. (lt.)

* * *

Zjawił się nareszcie w Wilnie przedsiębiorca teatralny, który robi dobre interesy — i to właśnie w sezonie letnim, dotąd stale największe przynoszącym straty.

Fenomenalne zjawisko zawdzięczać jednak należy temu, że dyrekcja uczyniła dość daleko idące koncesje z ambicji artystycznych t. zw. „świątyni sztuki“ na rzecz tinglowych gustów szanownej publiczności.

Nonsensem byłoby czynić z tego zarzut przedsiębiorcy, który — o ile wiemy — sam wolałby móżdżek prowadzić w Wilnie teatr poważny, a nie t. zw. „nowoczesny“. Przytem podnieść należy, że trupa zebrana jest starannie, sztuczki wystawiane porządnie — a że są najczęściej niemądre — ha! trudno: jednoaktówki, popyt dziś mające, są przeważnie fabrykami, a nie dziełami wartościowymi.

Zresztą, jak się okazało chociażby z wieczoru „empirycznego“ — publiczność letnia woli rzeczy, na ton wulgarniejszy nastrojone.

Więc ostatecznie mamy to, na co zasługujemy.

Nie należy jednak za daleko posuwać się w eksploatacji naszego ubóstwa kulturalnego; a przecież, jak słyhać, znalazł się amator prowadzenia takiego teatru „nowoczesnego“ i zimą, t. j. wówczas, gdy funkcjonować już będzie teatr normalny. Trzeba koniecznie przeciw temu z całą stanowczością zaprotestować. Stwarzanie tego rodzaju konkurencji scenie wileńskiej do reszty zabagni sprawę. Teatr poważny w zimie egzystować może. Dowiodły tego sezony 1912—13. Za mało jednak mamy publiczności, a publiczność ta zbyt mało posiada wyrobienia, by wolno było odciągać ją do przybytku, noszącego też nazwę „teatru polskiego“, a mającego jednak półtinglowy charakter.

Przedsiębiorstwo takie byłoby szkodnictwem, które, sędzę, cała opinia nasza powinna by jednomyślnie i odpowiednio potraktować. (rc.)

Z salonu Rychlinga.

III.

Poza autorami, których wymieniłem wyżej, znaczna większość — z małymi wyjątkami — należy do znanych, a niezasłużonych, młodych, a nieznanymi, no i najmłodszych, którzy bodaj najwięcej zasługują na to, by ich nie pominąć nieraz wiele znaczącym milczeniem. Do takich znanych, którzy sztuce polskiej nie przynieśli żadnej chluby, zaliczyć można np. p. *Austena* i jemu podobnych. Są to malarze, których chyba jaki kataklizm życiowy mógłby wytrącić z manjery i pewnego kabotyzmu w pojmovaniu postulatów sztuki; ludzie, którzy prawdzie w sztuce nigdy nie hołdownali, którzy ciągle i na każdym kroku siebie okłamują i innym pojęcia paczą, a zachwaszczając

sztukę polską — pokolenie przyszłe na analfabetów artystycznych kształcą.

Największe wybryki w sztuce: w technice, kolorze, czy też temacie są bardziej dopuszczalne i nie tak szkodliwe (bo najczęściej przejściowe), jak takie zdecydowane oleodrukarstwo pp. *Austenów*, *Nałęczyów*, *Tondosów*, *Pawliszaków*, *Ditrychów* i w. innych.

A. Austen stale zmanjerowany, suchy, twardy, konwencjonalny. Typowo-brukowy malarz z południowej Francji, sprzedający na ulicach swe „marynki“. A niestety, nasi domorośli mecenasowie kształcą się właśnie na pracach tego rodzaju „znanych malarzy“ i chętnie nabywają ich wyroby; płacą niekiedy bająnskie sumy i z pietyzmem konserwują w swych szacownych zbiorach.

Nie widziałem ani jednego obrazu p. *Nałęcza*, który możnaby nazwać dobrym. Suchość, surowy i brudny przeważnie kolor, żadnego zasadniczego tonu, brak rysunku, pospolitość efektów świetlnych — wszystko to cechuje całą długoletnią twórczość *Nałęcza*.

Ditrych, *Pawliszak*, *Tondos* — ludzie zmanjerowani do szpiku kości, ludzie, którzy dbali stale o popularność i popularnymi stali się, siejąc pracę swą po całym kraju w postaci pocztówek, społeczeństwu korzyści żadnej nie przynieśli — raczej szkodę; żadne też muzeum w przyszłości pochłubić się ich pracami nie będzie mogło.

Niewiele dalej zaszedł p. *Wiśniewski*. Jest to mikroskopijny „Carlo Dolci“ polski z tą jednak różnicą, że jego słodki, a wielki poprzednik umiał i rysować i malować. *Wiśniewski* zaś tem się poszczycić nie może. Pochlebca zaś pospółstwa staje się coraz bardziej. A jest to młody i nie pozbawiony talentu artysta, który jednak za wcześnie wpadł na sposobiaki techniczne i tematy „do gustu“ publiczności.

Nie mniej znanym od *Nałęcza* i *Austena*, a przytem chlubnie zapisany w sztuce polskiej jest *St. Gałek*; organizacja artystyczna przedziwnie prosta nie poślednia i nawet ciekawa. *St. G.* zajmuje w sztuce naszej pierwszorzędne stanowisko, jako twórca wyłącznie zimowego pejzażu. Ostatniemi laty *Gałek* zwrócił na siebie uwagę całego świata artystycznego, bo nikt tak zimę nie czuje, jak on.

Jeden *Wyczółkowski* tylko taką głębię wody i lekkość mgieł górskich odczuwa.

Gałek jest jedynym malarzem pejzażu zimowego, większym i o całe niebo subtelniejszym niż rosyjska znakomitość *Klewer*. — Technika w odtwarzaniu brył i zwalów śnieżnych posunięta do perfekcji. Ton zwykle nieskazitelny. Nastrój chwili. Rysunek mocny, zwięzły i syntetyczny.

Wiele osób nie rozumie *Galka* — bo nie zna „*Zakopanego*“, a pejzaże jego są specyficznie zakopiańskie. „*Zawieja nad stawem*“ jest doskonałą próbką jego prac. Widza narazie uderza chaos w pejzażu, moc dyskretnych plam, łączących się wzajemnie; lecz po chwili wylaniają się zeń kształty coraz wyraźniejsze, wytwarza się głębia i jakby z mgieł powstaje widok. Prace *Galka* mają tę zaletę, że się nie przykkszają. „*Pasterz z owcami*“ rzecz chybiona: brak rysunku i pewne banalne przejawskwienie psuje całość.

Gałek jest niedocenionym w społeczeństwie — również jak *Klewer*, który dopiero po śmierci zyskał uznanie swych rodaków. Los to częsty prawdziwych i oryginalnych talentów.

Wiele hałasu w sztuce polskiej sprawił *Vlastimil Hofman*, którego prace stale goszczą w salonach

wystawy krakowskiej. W pracach VI. H. wybitnie się daje zauważyć wpływ Malczewskiego. W sadowieniu postaci, w plenerze, w opracowywaniu tematu — z tą wszakże różnicą, że tematy Hofmana są bardziej zrozumiałe. Plastyka refleksów, sposób oświetlenia ogromnie są podobne do techniki Jacka Malczewskiego. Tylko Hofman, jak już wspominałem, jest bardzo zbliżony do prerafaelitów pod względem rysunku, formy, pewnego jakby przerysowania postaci, no i płaskości i jakby prymitywności. Chwilami VI. Hof. wpada w bizantyzm. Jest to siła poważna, indywidualność mocno skryształizowana. Wystawiona próbka nie mówi dostatecznie o twórczości Hofmana.

J. Janowski — bardzo poważny portrecista, sumienny rysownik i szczerzy artysta. Portrety jego są zawsze bez zarzutu.

Bardzo dobrym dekoratorem, spółrzednym Trojanowskiemu, jest *S. Kędziński* — jeden z sumienniejszych malarzy i pedagogów — odtwórca rodzinnego pejzażu i typów ludowych.

G. Pillati, syn niedawno zmarłego akwarelisty polskiego — artysta młody, o silnym temperamencie i wielkiej potędze koloru. Mocny w rysunku, zawsze świeży, barwny, ogromnie dekoracyjny. Jego „Kwitnące bzy“, „Pod krzyżem“ są tylko szkicami, ale szkicami, pełnymi wyrazu. Są to śmiałe z werwą rzucone notatki; odczuwa się w nich jednak mocną, skryształizowaną duszę autora.

S. Podgórski jest wychowawcą akademii krakowskiej, uczniem Jana Stanisławskiego: to już daje mu markę — prawie bowiem każdy uczeń Stanisławskiego czuje pejzaż, odtwarza go subtelnie, nie brutalizuje barw w plenerze, ale — jak przeważnie wszyscy ze szkoły tego wielkiego artysty — słabo rysuje. Stanisławski małą uwagę zwracał na rysunek. *Podgórski* bodaj jedyny wyzwolił się poniekąd z manieri t. zw. Stanisławszczyzny. Przetrawił to, co mu dał jego znakomity profesor. Był czas, że go ślepo naśladował. Teraz jednak jest to poważny, samodzielny malarz, odrębnie, bardzo ciekawie traktujący pejzaż. Widz, nie przyzwyczajony do pewnej surowości i zimna, wiejącego z płócien tego artysty, mija je, nie widząc tkwiącego w nich niepospolitego talentu. W każdym skrawku pejzażu wielki rozmach: wirtuozostwo techniki. Na szczególną uwagę zasługuje „Dewajtis“; inne jego prace, mieszczące się na obecnej wystawie, są niedociągnięte.

J. Rudziński jest dobrym i znanym rysownikiem, kolorystą słabszym. Malarz to przeważnie dekoracyjny; uprawia najwięcej malarstwo kościelne. Pejzaż zaś jest dla niego *terra incognita*, czego dowodzi niewielka próbka: „Hotel turystów w Zakopanem.“

Jan Rembowski, poważny swego czasu art. rzeźbiarz, dziś zaś doskonały rysownik i jedna z ofiar obojętności społeczeństwa. Uczeń Wyspiańskiego, kultuwający ideje artystyczne mistrza swego, dogorywa dziś w sanatorjum. Na wystawie obecnej mamy ulubione jego tematy. „Dziewczynka“, „Studjum“, „Garda“. Są to prace bardzo kulturalne, szlachetne w swej prostocie i podobające się tylko prawdziwym, a rzadkim u nas znawcom.

Bronisława Rychter-Janowska, — artystka z wielką sumiennością stylizująca wszelkie motywy na tkaniny w guście swojskim. Położyła wielkie zasługi na polu rozwoju sztuki stosowanej w kraju.

„Samson i Dalila“, „Szczątki“, takie tytuły noszą malutkie prace *F. Siedleckiego* — prace, które zali-

czyć należy do dyletanckich próbek wytwornego myśliciela, literata, estety, wogóle człowieka subtelnego, o wielkiej kulturze, lecz nigdy nie malarza. Takim jest w rzeczywistości ich autor.

J. Skotnicki, malarz zwięzły, dobry rysownik, przetrawiający nie tylko kolor, ale i linje, dający siebie w najmniejszym skrawku, artysta rozumujący i przez to suchy, zimny, choć nieraz wytworny. Jego „Wykolejeni“ są doskonałym studjum — nieco akademickim, ale posiadającym wiele prawdy, dobry rysunek w ustawieniu postaci, mających dużo charakteru. Jest to jedna z lepszych prac tego artysty, którego jednak więcej należy cenić jako akwaforzystę.

Kazimierz Stabrowski — artysta o rozhukanym temperamencie, o sile brutalnej, nieokiełzanej przez żadne formy kultury. Zdolny i umiejący wiele, lecz goniący za tematami literackimi, często z uchybieniem dla koloru i rysunku. Chwilami surowy i twardy w kolorze. Rzadko przeprowadza konsenkwentnie ton w całym obrazie. „Frascati“ jest zaledwie notatką i nic nie mówi ani o wadach, ani o zaletach autora.

Do najpoważniejszych polskich pejzażystów należy dziś *Teodor Ziomek*, wyjątkowy uczeń Stanisławskiego: rysuje doskonale; ma nadzwyczajną świeżość koloru, ciepło tonu, wiele słońca i pogody. Rozumie krajobraz swojski i całą jego poezję. „Ranek“ jest rzeczą słabszą, nie pozbawioną jednakże zalet.

Pozostaje wiele jeszcze nazwisk mniej lub więcej, znanych, że wymienię choćby *A. Augustynowicza* zmanierowanego na narodowym *genre à la Tetmajer*; *Kazimierza Alchimowicza*, *St. Bagińskiego*, młodego, a zdolnego batalistę, *J. Bukowskiego*, zdolnego, lecz którego „ja“ spaczyła sztuka zachodu. *T. Ciesielskiego*, sumiennego odtwórcę fragmentów starej Warszawy (prace jego mają znaczenie dla Towarzystwa Krajoznawczego i opieki nad zabytkami). *M. Czepita* młodego, a już zmanierowanego artystę (kopiuje — zawzięcie Żmurkę i Wyczółkowskiego. Jego „Czerwone róże“ są żywym naśladownictwem Wyczółkowskiego).

A. Dzierzbicki, jeden członków młodej sztuki w Warszawie, która, nie nauczywszy się ani rysować, ani malować, już się zmanierowała na Gogienkę, Cesanach i Van-Goghach.

Wspomnę jeszcze o bardzo młodych pracach *p. Rouby*. Rzeczy to poprawne — takie, jakie zwykle mniej lub więcej zdolny adept w akademii maluje. Trudno z nich wróżyć, co z danym talentem się stanie. Narazie brak pierwiastka samodzielności, niezdecydowana płeć w zdolnościach. Ale fragment ołtarza jest dobry w tonie i szlachetny w rysunku.

Na tem zakończę sprawozdanie z salonu Rychlinga, jeszcze raz zaznaczając, że ani o sztuce polskiej, ani o jej pracownikach wnioskować z niej nie można.

E. Pietkiewicz.

PRASA POLSKA.

Z powodu umieszczonego w „Kur. Porannym“ listu pewnej „osobistości, zajmującej w świecie kulturalnym polskim stanowisko przodujące“ wywiązała się w prasie warszawskiej żywa dyskusja na temat „jednolitości frontu“ w polityce zewnętrznej.

„Poza kwestjami — powiada autor wspomnianego listu — które w normalnym życiu należą do polityki wewnętrznej, oświatowej, wyznaniowej, handlowej, finansowej, socjalnej, agrarnej, są jeszcze i kwestje, objęte nazwą polityki zewnętrznej. Są to nietyle kwestje praktyczne czy nastrojów, ile kwestje taktyki zbiorowego działania wobec następującego się splotu zdarzeń w ciągle zmiennym kalejdoskopie stosunków międzynarodowych“.

Rzecz prosta, iż utrzymywanie „jedności frontu“ jest dla każdego społeczeństwa, dla każdego narodu potrzebą wagi pierwszorzędnej. Ale zadanie to spełnić może jedna tylko instytucja — i to taka właśnie, której nie mamy i której bez bohaterkiego wysiłku zdobyć nie można. Autor listu chciałby jednak zaradzić złemu dużo tańszym kosztem i zadowolić nas surogatem.

Proponuje więc poddać politykę zewnętrzną narodu pod opiekę jakiegoś „prytanejona“, złożonego z najwybitniejszych pisarzy, uczonych i artystów.

Kwestję tę od paru już tygodni walcą dzienniki, co daje sposobność „Tygodnikowi Polskiemu“ do wypowiedzenia kilku trafnych uwag.

„W prasie naszej — powiada — wybuchają często, z dużym zasobem energii inscenizowane, dyskusje o różnych wielkich zagadnieniach bytu narodowego, projekty praktycznego urzeczywistnienia szerokich planów społeczno-narodowych, wytworzenia nowych instytucji publicznych itp. itp. Kończy się to zwykle na wypisaniu kilku tysięcy wierszy nowych artykułów, na wymyślaniu sobie wzajemnym przez różne grupy, obozy i osoby, wreszcie na zapomnieniu zupełnym o poruszonej z tak wielkim rozmachem „najważniejszej“ kwestji bytu narodowego“.

Autor artykułu (p. Gustaw Simon) zwraca uwagę, że pewne zagadnienia *w naszych warunkach* nigdy nie mogą być publicznie dobrze wyjaśnione.

„Wszak chyba wszyscy wiedzieć powinniśmy, iż pewien zakres zagadnień polskiego bytu narodowego, a zakres to spraw najważniejszych, u nas publicznie omawiany być nie może, zbyt bowiem wiele najistotniejszych stron każdej z poruszonych spraw pozostaje z musu poza obrębem dyskusji, — nie mówiąc już o tem, iż o publicznym zrealizowaniu wyłonionych projektów nawet marzyć dzisiaj nie możemy“.

Dalej zaś pisze:

„Uwagi powyższe stosują się w całej pełni do poruszonej w czasach ostatnich przez szereg pism polskich sprawy utworzenia jakiegoś najwyższego trybunału polityki narodowej, któryby w rękach swych ujednolitył wystąpienia narodu naszego. Rozprawia się o tem, kto do zasiadania w trybunale takim najbardziej jest uprawniony: uczeni, literaci i artyści — czyli politycy, społecznicy lub różnego rodzaju zawodowcy!“

Na Boga! Gdzież się o tem rozprawia? Czy uczestnicy tych dyskusji myśli swe umieścili gdzieś w przestworzu bezmiennym? Czy zapomnieli, że piszą w Warszawie, w gubernjach Królestwa Polskiego, na wschód od Aleksandrowa, Granicy i Strzemieszyc?

Ależ, zgoda zupełna, iż chodzi o jedno z najdonioślejszych, a może o najdonioślejsze zagadnienie życia polskiego, iż troska o jego należyte ukształtowanie ani na chwilę nas opuszczać nie może, praca zaś o jego realizację stale i zawsze toczyć się powinna. Ale przecież aby mówić o najważniejszym, *ogólno-polskim*, trybunale politycznym, o „jedności frontu“, o atrybucjach i aspiracjach wymienionej instytucji, nie dosyć jest chyba charakteryzować w nowych wciąż zestawieniach wyrazowych smutny stan obecny i w pięknych alegorjach malować obraz wyższości pragnień. Tu trzeba przecież pozytywnych i ścisłych określeń, poruszenia *wszelkich* stron naszego życia politycznego i związanych z niem ewentualności, wreszcie jakiegokolwiek cienia prawdopodobieństwa, by normalne, jawne urzeczywistnienie zamierzonych projektów dokonane być mogło.

Tymczasem to wszystko u nas w dyskusji publicznej pominięte być musi, cała więc dyskusja jest jakimś błędym odcieniem istotnego zagadnienia, jakimś tworem kalekim, w którym brak najważniejszych czynników sprawy omawianej; — wszystko to wisi w powietrzu

i zniknie, jak pozbawiona kształtów realnych mara senna“.

Cała ta dysputa jednego tylko dowodzi, mianowicie, że prasa warszawska przystosowuje się coraz lepiej do owych „naszych warunków“ — tak, że potrafi chwilami zapominać o nich.

GŁOSY ROSYJSKIE.

Liberalizm na eksport.

Zamach na arcyksięcia Franciszka Ferdynanda dał możność „Now. Wremi“ popisać się niespotykaną w tym dzienniku wolnomyślnością. Przyszło to jednak z niejakim trudem: dopiero w kilka dni po fackie organ suworynowski namyślił się, jakie wobec niego zająć stanowisko. Odezwął się nareszcie wówczas, gdy już pogromy serajewskie umożliwiły ton antyaustriacki.

Na wieść o nich „Now. Wremia“ zawrzało gniewem.

„Rozboje — wola — rabunki i morderstwa odbywały się przy akompaniamencie hymnu austriackiego, wobec czego policja austriacka nie uznawała za potrzebne przeszkadzać popełnianym zbrodniom.“

Wojowniczym żywiołom kół politycznych Austrii mało jeszcze tych ofiar. Ze zgonu arcyksięcia chcą one skorzystać, by cały naród serbski rozgromić. Jedni domagają się od gabinetu belgradzkiego złożenia policji austriackiej dowodów, że nie miał on nic wspólnego z zamachem. Inni żadnych wyjaśnień słuchać nie chcą, lecz żądają niezwłoczego zniszczenia tego „gniazda żmij“, jak zowią królestwo serbskie. Samo się przez się rozumie, iż myśl tę głosi „Reichspot“, dziennik, wypowiadający projekty i zapatrywania miarodajnych sfer, które popierał zmarły następcą tronu austriackiego.

Austriacka agencja telegraficzna, która, między innymi, i Rosji udziela informacji, gorliwie urabia dziś opinię europejską dla zbliżających się wypadków. Każdy wiersz jej komunikatów ma na celu oskarżanie Serbji i serbów.

W gwałtach tłumu wobec serbów winni są sami serbowie: ktoś z nich strzelił w plecy jednemu z demonstratorów i dopiero wtedy zaczął się pogrom. Zabójcy arcyksięcia mieli się przyznać, iż bomby i broń dostali w Belgradzie.

U aresztowanych w Serajewie serbów zawsze odnajduje się dokumenty, kompromitujące rząd serbski. Starczy w poważnym wieku, teść dyplomaty serbskiego, przedstawiany jest, jako przyłapany na uczynku wódz spisku serbskiego i t. p. Brednie te z dnia na dzień zalewają prasę europejską, przyzwyczajając opinię publiczną do myśli, iż istotnych winowajców zamachu na życie arcyksięcia Franciszka Ferdynanda szukać należy w Belgradzie i że pozostają oni w naściślejszych stosunkach z przedstawicielami rządu serbskiego. Stąd krok już tylko jeden do jawnego gwałtu nad Serbią i urzędowa agencja telegraficzna austriacka w przewidywaniu tego kroku i dla jego usprawiedliwienia pospiesznie fabrykuje potrzebne materiały.

Wolno jednak przypuszczać, iż występna robota fałszerzy tym razem nikogo w błąd nie wprowadzi. Europejska pinja publiczna prawie jednomyślnie składa odpowiedzialność za zgon nieszczęsnego arcyksięcia na barki tych, którzy systematycznie wytwarzali w Austrii atmosferę nienawiści i rozdrażnienia.“

Dużo z tego, co tu „Now. Wr.“ wypisuje, czytaliśmy już kiedyś, kiedyś w rosyjskiej prasie ra-

dykalnej przy innej okazji. Czy jednak, powtarzając dawne wywody swych przeciwników, organ młodych masażystek wie dobrze co czyni?

Po sesji dumskiej,

Pisma rosyjskie zliczyły już dorobek drugiej, świeżo zakończonej, sesji IV Dumy. Prócz budżetu, uchwalono 585 projektów ustawodawczych, 26 zwrócono ministerjom, a 21 odrzucono. Z inicjatywy poselskiej wyszło 77 wniosków, z nich 30 Duma uznała za pożądane. Z 64 interpelacji przyjęto 22, a 6 odrzucono.

Prasa postępową jest naogół dość zadowolona z tej sesji. „Przedstawiciele rządu — przypomina „Riecz“ — spotkali się kilkakrotnie ze stanowczą odmową Izby. Przechodząc od obrony do ataku, Duma Państwowa po raz pierwszy wykorzystwała swe prawa budżetowe: skreślono kilka pozycji z budżetów dwóch ministerjów, które najbardziej zasłużyły na nagane z strony opinii społeczeństwa. Zasadę immunitetu poselskiego uchwalono znaczną większością, nie bacząc na usiłowania prawicy, dążącej do zastraszenia żywiołów chwiejnych.“

Organowi kadetów nie podoba się tylko skwapliwość, z jaką Duma przyjęła wszystkie kredyty militarne. „Riecz“ wnioskuje stąd, że zamiłowanie większości Izby do ustępstw i ugody może łącznie opanować umysły tchórzliwe i sprowadzić powrót dawnych stonków.

„Birż Wied.“ stwierdzają, że Duma dała wyraz przepeści, która pogłębia się między rządem, a społeczeństwem. „Zamach na wolność słowa z jednej strony, a z drugiej oświadczenie bar. Taubego o niemożliwości organicznego prawodawstwa w danych warunkach — wszystko to i wiele objawów innych świadczy o zaostreniu sytuacji. Deklaracje Dumy, mimo wszystko, pozostają deklaracjami, które istotnego wpływu na politykę nie mają.“

„Peter. Kurjer“ pociesza się, że „sesja ubiegła nie była całkowicie bezpłodna. W chwili najmniej spodziewanej reakcja otrzymała cios, który zapamięta... „Walka z reakcją pochłonęła wszystkie siły sesji“.

Niemniej zadowolony jest z niej „Głos Rusi“. „Nocjanaliści — powiada on — i prawi, oglądając się na sesję minioną, mogą z dumą obliczać rezultaty swej działalności“... „Duma zaleczyła 585 ran życia rosyjskiego.“

Kuracja ta jednak nie zachwyca konserwatywnych „Peterb. Wiedomosti“, które IV Dumę bezwzględnie potępiają.

KRONIKA.

= List otwarty W. Sieroszewskiego.

Wacław Sieroszewski protestuje w liście otwartym przeciw sprawozdaniu delegatów polonji amerykańskiej, którzy — wysłani dla zbadania spraw Komisji tymczasowej — przedstawili kłamliwie opinię znakomitego pisarza.

= Nowa ustawa dla szkolnictwa prywatnego.

Duma uchwaliła bez zmian w redakcji Rady Państwa projekt ustawy dla szkół prywatnych. Nowa ustawa pozwala założycielom szkół (bez praw) wybierać dowolnie język wykładowy z wyjątkiem przedmiotów czysto-rosyjskich (języka rosyjskiego, historii Rosji i geografii Rosji); pozostawia do uznania założycieli wybór przedmiotów i dowolne układanie programu; założyciele szkół będą mogli sami bezpośrednio mianować na-

uczycieli, byleby z pośród osób, mających odpowiedni cenzus wykształceniowy, z obowiązkiem tylko komunikowania władzom naukowym o przyjętych nauczycielach.

Obok tego nowa ustawa usuwa dzisiejszy przepis, zakazujący nauczycielom polakom wykładania tak zw. przedmiotów rosyjskich, oraz zwalnia historję powszechną i geografję powszechną od konieczności wykładania ich po rosyjsku.

Przepisy powyższe rozciągają się mają na wszystkie szkoły prywatne, tak średnie, jak i niższe. W szkołach prywatnych, zakładanych, utrzymywanych lub wspieranych przez instytucje samorządowe, językiem wykładowym wszystkich przedmiotów musi być język rosyjski, z wyjątkiem religii i języka ojczystego.

= Dymisja.

Otrzymał dymisję kurator wileńskiego okręgu naukowego, p. Ostroumow, którego działalność wywoływała niezadowolenie organizacji prawniczych.

= Strejk.

Strejk tkaczy białostockich obejmuje coraz więcej fabryk tamtejszych. Rozpoczęły się rewizje i areszty.

= Walka z propagandą.

Według informacji „Rieczy“ arcybiskup prawosławny grodzieński, Michał, przysłał synodowi obszernie sprawozdanie na temat propagandy katolicyzmu i sekciarstwa na Litwie. Korzystając z tego materiału, władze cerkiewne opracowują obecnie system „walki z propagandą“ na całej Litwie.

= Zmienne losy.

Na wyborach ziemskich w Dubnie, Równem, Żytomierzu i Owruczu „Związkowcy“ ponieśli zupełną klęskę. W Starym Konstantynowie natomiast i Włodzimierzu Wołyńskim przeszła w całości lista „Związkowców“.

= Uchwały zjazdu adwokatów polskich.

Zakończony we Lwowie zjazd prawników uznał potrzebę reorganizacji adwokatury polskiej. Wyrażono też opinię, że „we wszystkich trzech dzielnicach naszej ojczyzny spótdziałanie w jakikolwiek sposób sprzedaży polskiej ziemi w obce ręce, uwiłacza godności adwokata polskiego“.

= Zjazd kobiet polskich.

Odbyty w Krakowie zjazd kobiet polskich uchwalił szereg rezolucji przeważnie w kwestjach ekonomicznych, związanych ściśle z akcją polszczenia handlu i przemysłu.

= Nowy rektorat we Lwowie.

Rektorem uniwersytetu lwowskiego wybrany został prof. dr. Kazimierz Twardowski. Dziekanami zostali: na wydziale teologicznym prof. ks. dr. Adam Gertsman, na wydziale lekarskim prof. dr. Henryk Halban, a na wydziale filozoficznym prof. dr. Stanisław Tolloczko.

= Laureaci fundacji Kochmana.

Zasiadająca we Lwowie komisja przyznała z fundacji Kochmana pierwszą nagrodę, w kwocie 2.000 koron Kazimierzowi Glińskiemu za utwór pod tytułem „Królewska Pieśń“, drugą zaś w kwocie 1.000 kor. Janowi Stolzmannowi za dzieło pod tytułem „Peru, wspomnienia z podróży“.

= Stanisław Leszczyński.

W Warszawie zmarł jeden z najwybitniejszych przedstawicieli palestry polskiej i zasłużony działacz społeczny, Stanisław Leszczyński. Doniosłą działalność społeczną rozwinął Leszczyński na polu oświaty, odkąd (w r. 1895) zajął stanowisko prezesa Wydziału Czytelników bezpłatnych przy Towarzystwie Dobroczynności w Warszawie. On to z czytelników tych uczynił wielką publiczną organizację oświatową, przy udziale grona ludzi dobrej woli, któremu przewodził i przewodniczył. W 1899 r. Leszczyński był aresztowany wraz z grupą pracowników czytelników, pod zarzutem należenia do „tajnego Stowarzyszenia oświaty ludowej“.

= Polska wyprawa.

D. 28 maja (n. st.) wyruszyła z Kurytby (Parana) wyściczka piesza dokoła świata, złożona z 6-ciu polaków, pod wodzą p. W. Piotrowskiego.

= Nowe rewelacje Burcewa.

Burcew zwrócił się do francuskiego ministra sprawiedliwości ze skargą na agentów tajnej policji rosyjskiej. Oskarża

on ich o systematyczną kradzież listów, adresowanych do niego i do innych emigrantów rosyjskich i twierdzi, iż agenci rosyjscy przekupują stróżów domów, otrzymują od nich listy, przeznaczone dla pewnych osób, listy te kopują, a następnie zwracają.

— **Joe Chamberlain.**

W Londynie zmarł jeden z najwybitniejszych polityków konserwatywnych Anglii — Joe Chamberlain. Był on głównym inicjatorem wielobrytyjskich dążeń imperjalistycznych i wojny burskiej.

— **Pokój meksykański.**

Podpisany został pokój między Stanami Zjednoczonymi a Meksykiem. Prezydent Huerta musiał zrezygnować.

— **Sąd polubowny.**

Turcja i Grecja oddają kwestje spraw spornych pod sąd neutralnego mocarstwa.

Treść.

Politykująca infuła—J. Sorokowicz.

Kwestja serbska—H. R. C.

Wybory francuskie, a sprawa polska—St. Auerbach.

Z pod Wawelu—J. Krzesławski.

Młodzież społeczna w zwierciadle „Głosu młodych”—Wi—ski.

Grajek (wiersz)—J. S. Wierzbicki.

Na marginesie — H. i r. c.

Z salonu Rychlinga — E. Pietkiewicz.

Prasa polska.

Głosy rosyjskie.

Kronika.

Odcinek: „Harfa czarodziejska” — B. Hertz.

!! Ostatnie przypomnienie !!

Dostępna dla każdego możliwość zakupu działki gruntu

w najlepszej dzielnicy Wilna, w „Zwierzynku”. Miejscowość ładna i zdrowa; las, rzeka. Ceny i warunki dogodne. Śpiesznie nabywać! Do sprzedania pozostała nader szczupła ilość gruntu. Zabezpieczcie się—kupić możecie tylko w tym sezonie. Po informacje należy się zwracać do Biura sprzedaży parceli w Zwierzynku:

Wilno, Zwierzyniec, Prospekt Ś-to Jerski d. № 68. Telefon № 46.

Informacje są udzielane w ciągu całego dnia, nie wyłączając świąt.

Wileńskie Towarzystwo

Wzajemnych Ubezpieczeń od Ognia

egzystuje od roku 1883,

naeżące do Rosyjskiego Związku Towarzystw Wzajemnych ubez. od ognia z kapitałem 7.000,000 rb.

Asekuruje na warunkach ulgowych nieruchomości i ruchomości w Wilnie, jak również nieruchomości w m. Nowo-Wilejsku, Lidzie, Święcianach, Nowo-Swięcianach, Kownie, Szawlach i Poniewieżu.

Zarząd T-wa w Wilnie, ul. Wileńska № 15.

Biuro czynne codziennie od god. 10 do 3-ej p.p., za wyjątkiem dni świątecznych i sobót (w okresie od 1-go maja do 1-go września włącznie).

„KRYTYKA” Czasopismo polityczno-społeczne i artystyczno-literackie,

wychodzące od piętnastu lat w Krakowie, od stycznia 1914 r. przez obrazło się na DWUTYGODNIK.

Program „Krytyki”: samoistność prawnopolityczna narodu i twórczość. Szereg pisarzy (D-r Bol. Limanowski, Wł. Studnicki, Dr. M. Sokolnicki, W. Feldman, Dr. M. Kukiel, M. Wasilewski i inni), rozbiiera w „Krytyce” bieżące sprawy polityki i wojskowości polskiej, gdy myśliciele (J. Wł. Dawid, Kaz. Bleszyński, Dr. Młynarski, dr. Horodyski) oraz wybitni artyści pióra torują drogę wysokiej kulturze duchowej. „Krytyka” pragnie przekonywać czytelnika, nie dogmatyzować. Umieszcza tedy artykuły dyskusyjne wolne o najżywotniejszych zagadnieniach narodowych i społecznych. Nadto w każdym zeszytce sprawozdania z ruchu wychowawczego, z teatrów, nowości wydawniczych etc. O Królestwie, Litwie i Rosji umieszcza „Krytyka” stale obszernie artykuły krytyczne. Tem swoim stanowiskiem zajmuje „Krytyka” w prasie odrębne stanowisko idejowe.

W roku 1913 umieszczało swe prace w „Krytyce” około 100 pisarzy, wśród których znajdujemy talenty pierwszorzędne. Jako dwutygodnik „Krytyka” będzie mogła spełnić swe zadanie w tempie żywszem i w sposób nierównie aktualniejszy.

Prenumerata „Krytyki” wynosi rocznie 10 rb. 20 kop., półrocznie 5 rb. 10 kop.

Adresować należy: Administracja „Krytyki”, Kraków, ul. Staszycza 5.